

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

TAJEMNICA JOHNA KEITHA

Curwood James Oliver

ROZDZIAŁ I

JAK UMIERAŁ CONNISTON

Pomiędzy Connistonem z Królewskiej Konnej Policji a zbrodniarzem Keithem istniało uderzające podobieństwo postaci i rysów. Oczywiście obaj wiedzieli o tym. Zadzierzgnęło to nawet między nimi pewną nić ufności. Tworzyło nieuchwytną, a jednak silną duchową więź, narzucając nieraz Connistonowi chęć postępowania niezgodnie z obowiązkiem. Przez ostatni miesiąc wręcz dławił w sobie te porywy. Był przedstawicielem prawa. Był uosobieniem prawa nawet. Od dwudziestu siedmiu miesięcy ścigał Keitha i wciąż tkwił mu w mózgu jeden z paragrafów otrzymanej instrukcji. „Nie wracać, zanim się nie uda schwytać zbrodniarza żywym lub martwym!” Inaczej mówiąc...

Chrapliwy kaszel pogmatwał mu bieg myśli, a Keith, słysząc jęk bólu, który wraz z krwią wybiegł na wargi chorego, zbliżył się śpiesznie i silnym ramieniem podparł mu plecy. Obaj milczeli, lecz po chwili Conniston starł krew i roześmiał się cichutko, jakkolwiek w oczach miał jeszcze ślad cierpienia. Położył dłoń na przegubie ręki Keitha, w miejscu, gdzie dotąd czerwieniało wspomnienie kajdan. Ten widok uprzytomnił mu ponurą rzeczywistość. Prawdę mówiąc los dziwacznie splątał przedzę ich przeznaczeń.

— Dziękuję ci, stary druhu! — rzekł Conniston. — Dziękuję!

Ponad ich głowami szalał wściekle podbiegunowy huragan, jak gdyby usiłując zmiażdżyć maleńką chatę zbudowaną wśród brunatnosiwej pustyni na samym końcu świata. W porywach wichru brzmiały rozdzierające łkania, dziwaczne zgrzyty i przeraźliwe wycia, a gdy wreszcie orkan zamarł i nastąpiła niesamowita cisza, dwaj mężczyźni czuli, jak zmarzły grunt pod ich stopami drga wstrząsany dalekim łomotem kruszących się lodowych pól. Wraz z dygotem ziemi płynął zdławiony lecz uparty grzmot; niby odległy huk gromów z placu boju, przerywany czasem, gdy szklista góra pękała na dwoje, rykiem podobnym do głosu ciężkiego działa. W Zatoce Hudsona miliardy ton lodu rwały naprzód, krusząc i miażdżąc wszystko po drodze niby dzikie zastępy Hunów.

— Połóż się lepiej! — doradził Keith.

Zamiast usłuchać Conniston wstał i z wolna podszedł do stołu, na którym płonęła lampa napełniona foczym tłuszczem. Idąc zataczał się trochę. Siadł. Keith siadł naprzeciwko. Pomiędzy nimi leżała wyświechtana talia kart. Conniston machinalnie począł ją rozrzucać palcami, a jednocześnie spojrzął na Keitha i uśmiechnął się blado.

— To wszystko jest diablo dziwaczne! — rzekł. — Prawda, Keith? Dziwaczne i zabawne?

Conniston był Anglikiem i jego błękitne oczy lśniły chłodną ironią.

— Dziwaczne, lecz wcale nie zabawne! — odparł Keith.

— Owszem, zabawne! — upierał się Conniston. — Właśnie dwadzieścia siedem miesięcy temu, do terminu brakuje zaledwie trzech dni, byłem wysłany, żeby ciebie schwytać, Keith! Kazano mi dostać cię żywego lub martwego i po upływie dwudziestu sześciu miesięcy schwytałem cię żywcem. Prawdę mówiąc zasłużyłeś raczej na sto lat szczęścia niż na stryczek, za wytrwałość, z jaką wymykałeś mi się z rąk. Nim cię dostałem, przeszedłem siedem kręgów piekielnych. Marzłem, głodowałem, tonąłem! W ciągu półtora roku ni razu nie oglądałem twarzy białej kobiety. To było straszne! Ale zwyciężyłem wreszcie! W tym właśnie jest cały komizm sytuacji. Zwyciężyłem ciebie, schwytałem ciebie i na przegubach twoich rąk po dziś dzień widnieje świadectwo tej prawdy. Wygrałem! Zgadzasz się z tym, prawda? Musisz być szczery, stary druhu, przecież to było moje ostatnie zadanie...

Końcowe zdanie wypowiedział głosem złamanym i pełnym żalu.

Keith skinął głową.

— Wygrałeś! — rzekł. — Wygrałeś tak dalece, że odmroziłeś sobie płuca!

— Nie skorzystałeś z tego! — przerwał Conniston. — Keith, tu właśnie zaczyna się zabawa! Tu wchodzi do gry komizm! Byłeś w kajdanach i nieodwołalnie przeznaczony na szubienicę, gdy trzask! fala mrozu nadgryzła mi płuca i karty się zmieniają. A ty, zamiast postąpić ze mną tak, jak ja miałem zamiar postąpić z tobą, zamiast zabić mnie lub uciec, gdy byłem bezsilny, Keith, stary druhu, ty starałeś się mnie wyleczyć! Czyż to nie jest zabawne? Czyż cokolwiek mogłoby być śmieszniejsze?

Wyciągnął rękę poprzez stół i chwycił dłoń Keitha. Potem skulił się znów, schylił głowę i dygotał, wstrząsany nowym atakiem chrapliwego kaszlu. Keith wyczuwał mękę towarzysza w ostrym uścisku jego palców. Gdy wreszcie Conniston uniósł głowę, na jego wargach widniała znów smuga krwi.

— Widzisz, ustaliłem swój termin niemal co do dnia! — ciągnął Anglik wytarłszy uprzednio krew szmatą już pełną czerwonych plam. — Dziś mamy czwartek. Nie zobaczę już niedzieli. Skonam w piątek nocą, albo najdalej w sobotę rano. Obserwowałem niejednokrotnie, jak postępuje choroba przy odmrożeniu płuc. Rozumiesz, mam przed sobą dwa pewne dni i jeden wątpliwy. Potem musisz wykopać jamę i pochować mnie. Wtenczas przestanę cię obowiązywać słowo honoru, które mi dałeś, gdy zdjąłem ci kajdany. Więc pytam cię, co zamierzasz wówczas uczynić?

Na twarzy Keitha widniały głębokie bruzdy, żłobione rylcem bólu i tragicznych przeżyć. Wczoraj porównywali swój wzajemny wiek. Keith miał trzydzieści osiem lat i był mało co młodszy od człowieka, który ścigał go ongiś, a teraz umierał w godzinie wątpliwego triumfu. Poprzednio nigdy nie omawiali jasno sytuacji. Dla Keitha była to kłopotliwa rzecz, gdyż jakkolwiek mógłby w swoim czasie zamordować prześladowcę, dziś nie ośmielał się powiedzieć mu, że śmierć jest blisko. Teraz, gdy Conniston samorzutnie określił czas trwania własnej męki — a uczynił to z zadziwiającym spokojem — z ramion Keitha spadł straszny ciężar. Poprzez szerokość stołu patrzyli sobie w oczy i tym razem palce Keitha zwarły się na przegubie dłoni Connistona. W słabym świetle wyglądali jak dwaj bracia. — Co zamierzasz uczynić? — powtórzył Conniston. Twarz Keitha jakby nagle się postarzała.

— Sądzę, że powrócę tam! — rzekł ciężko.

— Myślisz wracać nad zatokę Coronation? Do tej śmierdzącej eskimoskiej wsi? Jeśli to uczynisz, zwariujesz.

— Mam nadzieję, że tak! — rzekł tępo Keith. — Zresztą brak mi wyboru! Wiesz o tym dobrze. Tak, ty przede wszystkim wiesz, jak mnie tropią. Gdybym poszedł na południe...

Conniston w zadumie skinął głową.

— Tak, oczywiście! — przyznał. — Ścigają cię zaciekle, a ty wodzisz ich za nos. Jednak schwytają cię w końcu nawet tam. Doprawdy, szkoda!...

Dłonie ich się rozdzieliły. Conniston nabił fajkę i zapalił ją. Keith dostrzegł, że ręce policjanta nie drżą ani trochę. Zaiste, Conniston miał stalowe nerwy.

— Przykro mi... — zaczął znowu Anglik. — Lubię cię! Wiesz, Keith, chciałbym, żebyśmy się urodzili braćmi i żebyś nie zamordował człowieka! Tej nocy, gdy założyłem ci kajdanki, czułem się doprawdy wcielonym diabłem. Nie mówiłbym ci tego, gdyby nie moje płuca. Lecz teraz nie ma sensu czegokolwiek taić. To podła rzecz kazać komuś żyć w takim kraju i w ciągu trzech lat zmuszać go do ukrywania się po dziurach niby szczur, by wreszcie zaprowadzić go na szubienicę. Wiem, że w twoim wypadku jest to bezwzględnie źle! Czuję to. Nie chcę cię bynajmniej zmuszać do wyjawiania twych tajemnic, stary, ale przyznam, nie wierzę w wyniki śledztwa. Poszedłbym o zakład, że nie

jesteś takim, jakim cię odmalowało prawo. I rad bym wiedzieć, dlaczego zabiłeś sędziego Kirkstone'a?

Pięści Keitha zwarły się pośrodku stołu. Conniston dostrzegł, że błękitne oczy zbiega poczerniały raptem i że zapłonął w nich dziki ogień. W chacie zapadła niezwykła cisza, a nieustanne, denerwujące naszczekiwanie białych lisów rozbrzmiało głośniejsz na tle oddalonego huku pękających lodów.

ROZDZIAŁ II

DLACZEGO KEITH ZABIŁ

— Dlaczego zabiłem sędziego Kirkstone'a? — powtórzył Keith ogromnie wolno. Zaciśnięte mięśnie zwiotczały, ale w oczach płonął wciąż dziki błysk. — Jakie były wyniki śledztwa?

— Żeś go zamordował z zimną krwią i że honor policji będzie wystawiony na szwank, jeżeli nie uda się ciebie powiesić!

— Są różne punkty widzenia! A gdybym ci powiedział, że nie zabiłem sędziego Kirkstone'a?!

Conniston pochylił się naprzód nieco zbyt gwałtownie. Straszny kaszel porwał go znowu, a gdy minął, jego oddech wydierał się z piersi chrapliwie i świszcząco, jakby wydobywał się spod mocnego knebla.

— Mój Boże, Keith! — westchnął. — Nie umrę ani w sobotę, ani w niedzielę, tylko jutro...

— Nie. Mylisz się! — zaprzeczył Keith czując, jak mu coś twardego staje w gardle. — Musisz się położyć!

Conniston na nowo zebrał siły.

— I umrzeć w legowisku jak królik! Dziękuję ci, stary druhu! Idzie mi teraz o wydobycie prawdy, a wszak nieładnie kłamać umierającemu... Czy zabiłeś sędziego Kirkstone'a?

— Nie wiem! — odpowiedział z wolna Keith, patrząc uparcie w oczy tamtego. — Myślę, że nie, ale pewności nie mam. Poszedłem tej nocy z zamiarem otrzymania odeń zadośćuczynienia lub też zabicia go. Chciałbym, Conniston, żebyś mógł spojrzeć na tę kwestię z mego punktu widzenia. Mógłbyś to uczynić, gdybyś znał mojego ojca. Widzisz, matka mi umarła, gdy byłem małejki, więc rośliśmy wraz z ojcem jak dwaj koledzy. Zdaje mi się, że nawet nie myślałem o nim nigdy jak tylko o ojcu. Ojciec to rzecz zwykła. On był czymś więcej. Od dnia, gdy skończyłem dziesięć lat, staliśmy się wprost nierozłączni. Miałem coś około dwudziestki, gdy wyznał mi, że między nim a sędzią Kirkstone'em panuje śmiertelna nienawiść. To mi zresztą nigdy nie zakłóciło snu, gdyż nie przypisywałem temu większego znaczenia. Lecz pewnego dnia Kirkstone zaczął działać. Upewniłem się wtenczas, że stary grzechotnik już od lat wyglądał okazji. Zastawił pułapkę i ojciec dał się schwytać. Nawet wówczas sądził, że to polityczni wrogowie tak go załatwili; Kirkstone'a nie podejrzewał wcale. Wkrótce jednak pojęliśmy prawdę. Ojciec dostał dziesięć lat więzienia. Był niewinny. A jedynym człowiekiem, który mógł dowieść jego niewinności — był Kirkstone. Słuchaj, gdybyś wiedział o tym wszystkim i był na moim miejscu, jak byś postąpił?

Conniston zapalał właśnie nową fajkę nad płomieniem kaganka. Odpowiedział wymijająco:

— Nie wiem jeszcze, stary! A co ty zrobiłeś?

— Poszedłem niemal na kolanach do tego łotra! — ciągnął Keith. — Błagałem, jak tylko człowiek błagać może o łaskę dla mego ojca, o te parę słów, które mogły go wydostać z więzienia. Ofiarowałem w zamian wszystko, co tylko posiadałem na ziemi, nawet moje ciało i duszę. O Boże, nigdy nie zapomnę tej nocy! Sędzia siedział tłusty, opasły, z dwoma pierścieniami na grubych palcach, potworna ropucha w ludzkiej postaci, a chichotał i śmiał się pełen radości, jak gdybym był klaunem. A tu przecie dusza krwawiła we mnie przed jego oczyma! Potem wszedł jego syn, równie opasły jak ojciec. Klął i drwił również... Doprawdy nie przypuszczałem, że na świecie istnieje podobna nienawiść ani że zemsta może zrodzić tak piekielną radość. Gdy — zataczając się — wyszedłem, słyszałem wciąż ich chrypliwy śmiech. Prześladował mnie. Powtarzały go drzewa. Powtarzał go wiatr. Miałem pełen mózg tych drwin. Zawróciłem nagle, wszedłem bez stukania i w

tym samym pokoju spojrziałem im obu w twarze. Tym razem musiałem otrzymać sprawiedliwość lub zabić. Jednakże nie przyniosłem ze sobą żadnej broni. We drzwiach był klucz; przekręciłem go w zamku. Potem wyłuszczyłem sprawę. Nie traciłem słów na próżno!

Keith wstał od stołu i począł przemierzać pokój tam i z powrotem. Wiatr ponownie ucichł. Obaj słyszeli ujadanie lisów i niski grzmot pękających lodowców.

— Syn zaczął pierwszy! — mówił dalej Keith. — Skoczył na mnie! Zwaliłem go z nóg. Potem wzięliśmy się za bary, a ojciec przyszedł mu z pomocą, wymachując czymś w rodzaju oręża. Nie wiedziałem, co to takiego, lecz czułem, że jest ciężkie. Pierwszy cios omal nie zdruzgotał mi ramienia. W zamieszaniu wydarłem mu broń z ręki i wtenczas spostrzegłem, że jest to długa miedziana sztaba używana jako przycisk do papierów. W tej chwili syn porwał ze stołu podobny przedmiot, jednocześnie wywracając lampę. Walczyliśmy dalej w ciemności. Nie miałem wcale wrażenia, że walczę z ludźmi. To były potwory i doznawałem okropnego uczucia, że wokół mnie pełzają gady. Tak, nie żałowałem ciosów! Lecz oni bili także, a nikt z nas nie mógł nic dojrzeć. Raptem uczułem, że moja broń dosięgła celu i właśnie w tej chwili sędzia Kirkstone runął głucho, charcząc. Wiesz, co się stało potem. W tym pokoju znaleziono tylko jeden miedziany przycisk; syn ukrył drugi. Ten, co został, miał na sobie krew sędziego Kirkstone'a oraz jego włosy. Nie pozostała mi najmniejsza szansa ratunku. Uciekłem więc. W sześć miesięcy później mój ojciec zmarł w więzieniu, a mnie tropiono przez trzy lata, jakbym był lisem gonionym przez sforę. Oto wszystko! Czy zabiłem sędziego Kirkstone'a? Nie wiem! Ale jeśli tak, i choćbym miał przez to wisieć, czy sądzisz, że żałuję?

— Siadaj!

Głos Anglika brzmiał jak komenda. Keith opadł na krzesło ciężko dysząc. Zauważył, że w oczach Connistona zapaliło się dziwne światelko.

— Słuchaj, Keith, gdy człowiek wie, że ma życie przed sobą, nie dostrzega wielu rzeczy. Ale gdy wie, że umrze, sprawa przedstawia się inaczej. Gdybyś mi opowiedział tę samą historię przed miesiącem, oddałbym cię w ręce kata. To stanowi moją powinność; tłumaczyłbym się sam przed sobą, że może kłamiesz. Ale teraz nie masz powodu mnie zwodzić. Kirkstone zasłużył na śmierć. Więc obmyśliłem już, co masz dalej czynić. Nie wrócisz nad zatokę Coronation. Pójdiesz na południe, ku krainie Bożej. Ale nie jako John Keith, morderca, lecz jako Derwent Conniston z Królewskiej Północno-Zachodniej Konnej Policji! Czy pojmujesz, co mam na myśli? Czy mnie rozumiesz?

Keith patrzył bez słowa. Anglik podkreślił węża, a w jego oczach lśnił półironiczny uśmiech. Ułożył sobie ten plan już wcześniej i z góry przewidywał, że wywoła piorunujące wrażenie.

— Dziwaczny pomysł, prawda, stary przyjacielu? Lubię cię, wiesz? Mówię bez żenady, że mam o tobie jak najlepsze pojęcie, więc nie widzę przyczyn, dla których nie miałbyś chodzić po ziemi w mojej skórze. Nie ma żadnych moralnych obiekcji. Nikt nie będzie mnie żałował. Tam, w Anglii, byłem wśród swoich czarną owcą, jako młodszy brat i w ogóle... Gdy w swoim czasie miałem wybierać pomiędzy Afryką i Kanadą, wybrałem Kanadę. Duma Anglika jest najdzikszą rzeczą na świecie. Pewien jestem, że w kraju sądzą, iż umarłem. Od sześciu czy siedmiu lat nie pisałem do nich ani słowa. Zapomniano o mnie. A najlepsze ze wszystkiego, że jesteśmy do siebie tak niezwykle podobni. Skróć trochę brodę i węża, zrób sobie bliznę nad prawym okiem, a możesz śmiało stanąć przed samym MacDowellem. Idę o zakład, że stary skoczy na twój widok i powie: Na Boga, ależ to Conniston we własnej osobie! Wszystko, co ci mogę pozostawić w spadku, Keith, to przyrodziewek zmarłego człowieka i jego imię. Proszę, weź jedno i drugie. Pojutrze nic mi już nie będzie potrzebne!

— To niemożliwe! — wybuchnął wreszcie Keith. — Conniston, czy ty rozumiesz, co mówisz?

— Najzupełniej, stary druhu! Liczę się ponadto z każdym słowem, bo boli mnie, gdy mówię. Zatem proszę, nie zmuszaj mnie do przekonywania ciebie. Nadchodzi najważniejsza chwila w moim życiu. Wkrótce umrę. Pochowaj mnie, proszę, pod podłogą, żeby lisy nie mogły wygrzebać mego ciała. Ale moje imię będzie jeszcze żyło! Wdziejesz moje ubranie, wrócisz do Prince Albert i opowiesz MacDowellowi, jak schwytałeś zbiega i jak on tu umarł, mając odmrożone płuca. Jako dowód upakujesz swój własny przydziewek, wraz z paroma innymi osobistymi rzeczami i — zostaniesz sierżantem! MacDowell ci to obiecał, jeśli schwytasz zbiega. Zrozumiano? A MacDowell nie widział mnie już od dwu lat i trzech miesięcy, toteż nawet jeśli spostrzeże pewną zmianę, uzna ją za rzecz naturalną. Obaj włóczyliśmy się przecie cały ten czas po samej krawędzi świata. Zresztą jesteśmy do siebie tak niezwykle podobni. Doprawdy, co za wspaniały pomysł!

W zapale Conniston zapomniał nawet o bliskości śmierci. A Keith, któremu serce waliło jak młotem, objął błyskawicznie myślą niezwykle śmiałość tego planu oraz widoki jego pomyślniej realizacji. Po czteroletniej nieobecności nikt nie rozpozna w nim Johna Keitha. Ongiś miał świeże policzki, ramiona lekko zgarbione i wiotkie mięśnie. Dziś był istnym atletem. Tyloletnie zmagania z rozkiełznanymi siłami przyrody wycisnęły na nim swoje piętno. Porównywał swój wygląd z wyglądem Connistona. Robili wrażenie bliźniąt.

Policjant zdawał się czytać w myślach Keitha. Jego oczy były pełne wesołych iskerek.

— Zdaje mi się, że to głównie z powodu zarostu! — rzekł. — Wiesz, stary, że broda i wąsy mogą pokryć wiele fizycznych skaz i różnic. Zapuściłem zarost na dwa lata przed początkiem tej wyprawy. Ścinałem zawsze brodę w klin. Radzę ci szczerze, nie używaj lepiej brzytwy. Z wyglądu nikt cię nie pozna. Chodzi więc o co innego. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin musisz się wyuczyć na pamięć historii życia Derwenta Connistona od dnia, gdy wstąpił do Królewskiej Konnej. Nie sięgniemy dalej, gdyż nie ma tam nic ciekawego; zresztą moje wcześniejsze dzieje nie będą ci nigdy potrzebne. Najcięższe przejście czeka cię z MacDowellem, dowódcą dywizji F. w Prince Albert. Jest to lis kuty na cztery nogi, nosi sumiasty wąs i przejrzy człowieka na wylot. Ale ma złote serce. Był mi dobrym przyjacielem, toteż dzieje Derwenta Connistona wiążą się ściśle z historią MacDowella. Jest wiele rzeczy... O Boże!...

Przycisnął dłonią pierś. Podczas gdy straszliwy kaszel przyprawiał go niemal o konwulsję, w chacie czaiła się niesamowita groza. Wiatr zawodził ponownie, tłumiąc ujadanie lisów i grzmoty pękających lodów.

Tej nocy, w mdłym blasku lampy napełnionej foczym tłuszczem, rozpoczęły się tytaniczne zapasy. Z wyrazem skupienia na twarzach, jeden — czując bliskość śmierci i walcząc z jej zwycięskim pochodem, drugi — błagając los o zwłokę, Conniston i Keith dokonywali przemiany osobowości. Conniston zmagął się bohatersko, a Keith patrząc nań wiedział, że ten szalony wysiłek skraca jeszcze niewielką ilość darowanych mu godzin. Keith kochał dotąd jedną tylko istotę: swego ojca. W tej chwili pokochał Connistona. Raz nie wytrzymał i rozplakał się jak dziecko, mówiąc, że on sam powinien raczej umrzeć, byle Conniston żył. Konający Anglik położył mu rękę na dłoni i zbieg uczuł, że ręka ta jest lepka od chłodnego potu.

W ciągu straszliwych godzin, jakie nastąpiły potem, Keith doznawał wrażenia, że hart umierającego Connistona udziela się z wolna jemu samemu. Był to istny epos. Conniston zachowywał się bohatersko, a Keith czuł, jak jego zrozpaczony i zdemoralizowany duch nabiera z wolna nowej mocy. Był podniecony myślą, że musi ogromnie wiele nad sobą pracować, by dorównać temu Anglikowi.

Na pierwszy ogień poszły przeżycia Connistona. Zaczął je opowiadać od czasu, gdy poznał

MacDowella. Pomędzy paroksyzmami kaszlu, które napelniały mu usta krwią, snuł nić błahych wydarzeń i uśmiechał się blado, wzmiankując, jak MacDowell kazał mu raz przysiąc, że utrzyma w tajemnicy pewną eskapadę zwierzchnika. Po upływie godziny Keith stał pośrodku izby, a Conniston, wsparty łokciami na stole, zgarbiony i dygocący, przerabiał z nim musztrę. Potem wręczył zbiegowi zniszczoną książeczkę zawierającą przepisy służbowe i kazał mu ją przestudiować, podczas gdy on sam będzie wypoczywał. Keith pomógł choremu dowlec się do tapczana i spróbował czytać. Ale ćmiło mu się w oczach, a mózg odmawiał posłuszeństwa. Męczący świst oddechu Anglika sprawiał mu niemal fizyczny ból. Wreszcie, czując dławienie w gardle, wstał i wyszedł z chaty w objęcia szarej, upiornej nocy.

Wciągnął w płuca lodowaty powiew. Nie było zbyt chłodno. Nadeszła już Kweski-hu, czyli Wielka Zmiana. Powietrze było przesycone odgłosem walki zimowej ariergardy z forpocztami wiosny i zima przegrywała na całej linii. Grunt pod stopami Keitha dygotał wstrząsany zmaganiem dwu potęg. Słyszał teraz wyraźniej huk i łoskot miażdżonych lodowców, które prąd piętrzył w Zatoce Hudsona. Ponad nim rozpostarła skrzydła niesamowita noc. Niebo nie było czarne, lecz miało widmowo siny odcień, a z chaosu chmurnych wyżyn płynęły dziwaczne dźwięki splątane z zawrotem wicheru. Keith pomyślał, że dłuższy samotny pobyt w tym otoczeniu bezwzględnie doprowadziłby go do obłądzenia. I teraz jeszcze wydawało mu się chwilami, że spod niewidzialnych gwiazd płynie lament ludzkich głosów. W ciągu minionych miesięcy niejednokrotnie dosłuchiwał się w pustce łkania dzieci, płaczu kobiet lub też demonicznego chichotu; widział nieraz jak Eskimosi, urodzeni w tym piekle, lecz doprowadzeni do szału torturą nieskończonej nocy, darli na sobie szaty i nadzy gnali w objęcia bezlitosnego mroku, na pewną śmierć. Conniston nie miał się nigdy dowiedzieć, jak bliski obłądzenia był Keith w chwili, gdy został wreszcie ujęty. Zbieg nie przyznał mu się, że jego umysł stał już na krawędzi szaleństwa. Policjant uratował go od obłąkania, lecz Keith zachował to dla siebie.

Skulił się mimo woli, gdyż poryw wiatru wstrząsnął chatą i zawył przejmująco. Lecz wnet wzruszył ramionami i parsknął śmiechem; ujadanie lisów nie wywołało już w nim nerwowego dygotu. Oczyma duszy oglądał już ojczyste strony — Boży kraj! Zielone bory i wody złoczone słońcem, wszystko to, o czym już prawie zapomniał. Widział znów twarze białych kobiet. Słyszał znajomą mowę i pieśni ptaszę; czuł pod stopami aksamitny kobierzec traw przetykanych kwieciem. Tak, wszystko prawie poszło w niepamięć. Wczoraj majaczyło tylko coś na kształt fantasmagorii. Ogarniał go obłądzenie. Dziś widział wyraźnie słoneczny kraj na południu i wracał doń.

Rozpostarł ramiona i krzyknął przejmująco. Wzbierał w nim triumf; szalona egzaltacja poszerzała pierś. Trzy lata takiego życia — i on wytrzymał! Trzy lata pomykania z nory do nory; trzy lata głodu, chłodu i samotności tak okropnej, że niemal przyprawiała go o obłądzenie. A teraz — wraca!

Odetchnął głęboko i wszedł do chaty. Już stojąc w progu, ujrzał bladą twarz Anglika, słabo majaczącą w mdłym świetle lampy. Conniston przyciskał dłonią pierś, a po jego wargach błędził pół ironiczny, pół żaloszny uśmiech.

Zegarek na stole wskazywał północ, gdy lekcja rozpoczęła się na nowo.

Nieco później Conniston rozgrzał lufę rewolweru, trzymając ją dobrą chwilę nad płomykiem lampy.

— Trzeba ci zrobić tę bliznę nad okiem, stary! Będzie boleć, ale trudno! Za to — co za pyszny kawał!

Conniston zamilkł, nie spuszczać jednak oczu z twarzy Keitha. Potem uśmiechnął się dziwnie i powtórzył w zadumie:

— Tak, doprawdy, pyszny kawał!

ROZDZIAŁ III

NA POŁUDNIE

Świt, zmierzch, znowu noc — i Keith uniósł wykrzywioną twarz znad tapczana Connistona. Z warg wydarło mu się kobiece łkanie. Anglik umarł, trzymając się mężnie do ostatniego tchnienia. Nim zamknął oczy, po raz ostatni wyszeptał jeszcze zdanie, powtarzane przedtem dziesięciokrotnie: „Pamiętaj, stary druhu, wygrasz lub przegrasz w chwili, gdy MacDowell ujrzy cię po raz pierwszy!” — Potem zgrzytnęło mu coś w piersi, niby tłumiony płacz, i skonał. A oczy Keitha zalała fala łez. Uczuł się dumny, że od tej chwili wolno mu nosić imię Derwenta Connistona.

Tak, to było teraz jego imię. John Keith umarł! Derwent Conniston żył! Patrząc w dół na chłodne nieruchome oblicze bohaterskiego Anglika Keith myślał, że zdobył już jego postać, a trudność leży w przyswojeniu sobie jego nieugiętego ducha.

Tej nocy łoskot lodowych pól brzmiał wyraźniej, gdyż nie tłumił go jęk wiatru. Niebo było pozbawione chmur, a gwiazdy robiły wrażenie żółtych ślepi pogładających przez dziurawą czarną zasłonę. Keith, wyszedłszy z chaty dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, objął wzrokiem nocny krajobraz i wzdrygnął się. Gwiazdy śledziły go niby żywe istoty. Pod ich upiornym lśnieniem białe lisy odprawiały szalone harce. Keith doznał uczucia, że sprytnie zwierzęta otoczyły chatę gęstym pierścieniem i że w ich ujadaniu brzmi nowy ton, bardziej uporczywy i krwiożerczy. Conniston przewidział zakusy białych grabarzy i Keith, wróciwszy do chaty, zabrał się do spełnienia obietnicy danej zmarłemu. Gdy upiorny świt zajrzał przez okno, praca była już ukończona.

W pół godziny później Keith stał na skraju splełanych chaszczki opasujących równinę i po raz ostatni spoglądał na chatę, pod podłogą której spoczywał Anglik. Powolnym ruchem obnażając głowę wyszeptał: „Niech cię Bóg ma w swej opiece, Conniston!” I bez pośpiechu zawrócił na południe.

Przed sobą miał osiemset mil dziczy. Osiemset mil leżało pomiędzy nim a małą miejsciną nad rzeką Saskatchewan, w której MacDowell dowodził dywizją F. Królewskiej Konnej. Nie trwożyła go myśl o tej odległości. Czteroletni pobyt na krańcu świata przyzwyczaił go do bezkresnych przestrzeni oraz do wszelkiego rodzaju wyrzeczeń. Tej zimy Conniston tropił go z uporem łasicy, zmuszając do tysięcznej włączki wzdłuż polarnego kręgu. Cudem jakimś Keith nie zgładził policjanta w czasie tej pogoni. By uniknąć pościgu, nie potrzebował nawet plamić własnych rąk. Przyjaźni Eskimosi na pierwsze skinienie gotowi byli oddać mu tę przysługę. Lecz Keith darował życie Anglikowi, a on, choć martwy, wracał mu teraz wolność.

Nie miał sani ani psów. Jego własny zaprzęg zginął już dawno, a zdradziecki Kogmollok z Roes Welcome okradł Connistona w czasie ostatniego etapu pogoni. Wszystko, co Keith dźwigał, należało do policjanta; miał jedynie na sobie własny, futrzany kaptur oraz takąż kurtkę, a na plecach swój karabin. Nawet zegarek był własnością Connistona. Plecak ważył niewiele. Podstawę ładunku stanowiły: odrobina mąki, trzyfuntowy namiot i worek do spania. Poza tym Keith zabrał jeszcze parę drobiazgów, mających ustalić tożsamość zmarłego mordercy, Johna Keitha.

Pierwszego dnia podróży, godzina za godziną, wiercił mu mózg monotony skrzyp śnieżnych rakiet. Nie mógł o niczym myśleć. Zdawało mu się raz po raz, że coś ciągnie go wstecz, i wciąż słyszał głos Connistona, a w szarej mgławicy wciąż oglądał jego twarz. Przebrnął wąskie pasmo zarośli, które dziwny kaprys natury rzucił w poprzek martwej równiny, i znów majaczył na białej przestrzeni pustkowia niby czarna, ruchoma plama. Pod wieczór, na południowym krańcu horyzontu

rozróżnił ciemną smugę i wiedział, że to pierwszy las, jaki ogląda od dnia, gdy przed półtora rokiem zginął mu w oddaleniu bór, porastający brzegi Mackenzie. Był to nareszcie widomy ślad zaszłej zmiany. Las stanowił określoną granicę pomiędzy tym ponurym światem a jego ziemią rodzinną. Osiemset mil drogi, które miał przebyć, znaczyły mniej niż te kilkaset metrów.

Dotarł do lasu w chwili, gdy szarzyzna dnia przesyciała się już głębszą czernią zmierzchu, i ustawił namiot pod osłoną kępy karłowatych sosen. Potem zgromadził paliwo i rozniecił ogień. Nie rachował kawałków drzewa, jak to czynił uprzednio w ciągu tylu miesięcy. Był szczodry, rozrzutny. Od rana uszedł czterdzieści mil, jednak nie czuł zmęczenia. Zbierał susz i ułożył cały stos na podorędziu. Języki ognia biły w górę coraz wyżej i wyżej, aż igły sosen ponad głowę skwierczały od żaru. Ugotował garnek słabej herbaty, która wraz z kawałkiem pieczeni karibu oraz drobiną sucharów stanowiła jego kolację. Potem siadł, wsparty plecami o drzewo, i patrzył w płomienie.

Ogień, buzujący przed jego oczyma, był niby potężny lek. Budził uczucia dawno pogrzebane w głębi duszy. Usuwał ciężki nalot czteroletniego ośpienia, żywo malując wypadki miesięcy długich jak stulecia. Pękły okowy wiodące go do obłądu. Każdy nerw drgał, trącany pulsowaniem żywotnego ognia; mózg działał sprawnie, zwolniony wreszcie z krępujących pęt. W sercu płomieni widział dom, nadzieję, życie! — wszystkie rzeczy znane i cenne przed laty, które zostały w jego umyśle zwarzone lodowatym tchnieniem północy. Oglądał szeroki Saskatchewan, płynący wspaniale wśród złotych równin i stoków gór, otulony tęczą mgłą poranków; ujrzał rodzinne miasto, schodzące domami niemal nad sam brzeg rzeki; słyszał rytmiczne sapanie starej drągi czerpiącej złoto oraz zgrzyt jej łańcuchów, podczas gdy wyławiała tony piachu dla zdobycia paru cennych ziarn. Ponad głową miał znów błękitne niebo, przybrane iluzją obłoków; słyszał brzmienie głosów, dźwięk śmiechu, tupot nóg. Gdy dusza odżyła w nim na nowo, wstał i przeciągnął ramiona, aż mu trzasnęły stawy. Nie, nikt go tam nie pozna!

Roześmiał się cicho, myśląc o dawnym Johnie Keith. Ludzie, zamieszkujący nieliczne uliczki miasta, pachnące świerkową żywicą, wołali go Johnny. Stary Reddy MacTabb nazywał go prawą ręką ojca. Keith wspominał teraz przeszłość spokojnie i trzeźwo. Nawet nienawiść zgasła w nim do cna, i bez zbytniego zdenerwowania zastanawiał się nad tym, czy dom sędziego Kirkstone'a stoi po dawnemu na szczycie wzgórza oraz czy Miriam Kirkstone wróciła do ojcowskiej siedziby pomimo rozegranej tam tragedii. Cztery lata! To nie był ostatecznie zbyt wielki szmat czasu, jakkolwiek włókł się dlań nieskończenie długo. Zapewne nie zaszło tak wiele zmian. Wszędzie jest po dawnemu, wszędzie, tylko nie w starym, rodzinnym domu. Obaj z ojcem ustalili w swoim czasie jego plan, a potem sami doglądali budowy. Był to dworek masywnie wzniesiony z grubych bali, zaraz za miastem, mający rzekę u stóp i las za plecami. Bezpański w ciągu czterech lat, musiał się mocno zestarzeć.

Machinalnie przebierając palcami w kieszeni, Keith namacał zegarek Connistona. Wyjął go i otwarszy, poddał pieszczocie złotych błysków ognia. Dochodziła dziesiąta. Wewnątrz koperty Conniston umieścił kiedyś maleńki portrecik. Stało się to zapewne przed wielu laty, gdyż twarz była wyblakła i niemal całkowicie zatarta. Jedyne oczy zachowały dawny wyraz i w świetle ognia patrzyły niemal jak żywe. Była to twarz dziewczynki, pensjonarki lat dziesięciu lub dwunastu; tak ją przynajmniej określił Keith. Tylko oczy zdawały się starsze; miały proszący wyraz, jakby chcąc wzrokiem przesłać myśl zrodzoną w głębi duszy. Keith zamknął zegarek. Jego tykanie zabrzmiało głośnie. Wsunął go do kieszeni, ale i teraz słyszał dźwięczny, miarowy chód.

Gałąź, przesycona żywicą, buchnęła nagle jaskrawo jak rakietą, a jednocześnie Keith doznał raptownego wstrząsu. Był pewien, że przez moment oglądał twarz Connistona i że Anglik patrzył nań wzrokiem podobnym do oczu dziewczynki z zegarka. Wizja była tak realna, że cofnął się o krok. Szukając wkoło zjawy, uprzytomnił sobie, jak bardzo wyczerpujące były ostatnie dni. Od dawna nie

zaznał dłuższego wypoczynku. Nie był jednak wcale senny i zaledwie odczuwał znużenie. Samozachowawczy instynkt kazał mu umieścić worek do spania na warstwie jodłowych gałązek pod namiotem i leć na parę godzin.

Lecz nawet i teraz nawiedziła go tylko męcząca bezsenność. Zamknął oczy, ale w krótkim czasie musiał je znów otworzyć. Dźwięki nocy, straszliwie wyraźne, były w niego ze wszystkich stron: trzask ognia, żmijowy syk skwierczącej żywicy, szept gałęzi drzew oraz uparte tykanie chronometru Connistona. A na pustkowiu, poza osłoną leśnej gęstwy, wiatr podjął na nowo zawodzenie i jękliwy lament.

Keith zaciskał pięści, bronił się przed absurdalną myślą, a jednak zdawało mu się raz po raz, że w porywach wichru słyszy głos Anglika. I raptem zadał sobie pytanie — co to znaczy? O czym właściwie Conniston zapomniał? Co chciał" wyrazić, idąc za nim przez cały dzień trop w trop po ośnieżonym pustkowiu? Czy chciał go zwabić z powrotem? Czy chciał go przestrzec?

Starał się pozbyć tych przygnębiających myśli. Był jednak pewien, że w ciągu ostatniej półgodziny, nim śmierć weszła do chaty, Conniston chciał mu coś wyznać i zdławił w sobie tę chęć. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Pamiętaj, stary druhu, wygrasz lub przegrasz — w chwili, gdy MacDowell spojrzy na ciebie po raz pierwszy!" Lecz w momencie, gdy agonია raz na zawsze pozbawiła go możliwości mowy, Anglik bezdźwięcznie poruszył wargami, chcąc wyrzec słowa, z którymi do ostatka zwlekał. A teraz Keith, słuchając w napięciu skowytu wichru i trzasku ognia, raz po raz zadawał sobie pytanie — co właściwie Conniston chciał powiedzieć?

Wiatr jęknął przeraźliwiej, a zegarek Connistona — pod metalową kopertą — bił niby ludzkie serce i zdawał się mówić: wracaj, wracaj, wracaj...

Keith zaszlochał, rozżalony poczuciem własnej słabości, i wsunął zegarek głęboko pod poślanie. Tam jego tykanie zostało zagłuszone. A człowieka zmógł wreszcie ciężki, mało posilny sen.

O brzasku wyszedł z namiotu i podsycił ogień. Znalazł jeszcze wśród popiołu parę tłących się węgli, zbudził je do życia i posypał warstwą chrustu. Nie mógł zapomnieć koszmarów ubiegłej nocy, nie zastanawiał się już jednak nad ich znaczeniem. Zaśmiał się z własnej głupoty i rozważał, co by rzekł Conniston, słysząc o takiej sarabandzie nerwów. Po raz pierwszy od dawna wspomniął lata spędzone w szkołach, gdy między innymi studiował z zapałem psychologię. Uważał siebie w swoim czasie za eksperta w dziedzinie wyjaśniania fenomenów myśli. Ongiś żył podług filozoficznych nakazów, a fakt, że zwykłe wyczerpanie tak go dręczyło ubiegłej nocy, wydał mu się zabawnym. Rozwiązanie nie nastroczało żadnych trudności. Po prostu umysł wyczerpał się do cna w czteroletniej udręce. Teraz czuł się już lepiej. Mózg miał jasny. Przyrządzając śniadanie, Keith pogwizdywał z cicha.

Zjadłszy spakował manatki i ruszył znów na południe. Zastanawiał się, czy też Conniston znał kiedy, równie dokładnie jak on teraz, policyjny regulamin. Pod koniec szóstego dnia cytował go na wyrwyki. Co godzina przystawał na chwilę i salutował drzewom w przepisowy sposób. Był pewien, że tu MacDowell nie potrafi nic skrytykować.

— Jestem Derwent Conniston! — powtarzał sobie raz po raz. — John Keith nie żyje! Pochowałem go pod podłogą chaty zbudowanej przez sierżanta Trossy i jego ludzi w roku tysiąc dziewięćset ósmym. Na imię mi Derwent, Derwent Conniston!

W ciągu długich lat samotności przyzwyczał się mówić do siebie głośno lub też rozmawiać sam ze sobą dla podtrzymania energii i zdrowych zmysłów. „Keith, stary chłopie, musimy i to jeszcze przetrwać!" mawiał nieraz. Obecnie powtarzał z uporem: „Connistonie, stary druhu, zwycięstwo lub śmierć!" A po upływie trzech dni wspomniął Johna Keitha już tylko jako człowieka zmarłego. „John Keith umarł dzielnie, sir!" — mówił do MacDowella stojącego przed nim w postaci wyniosłego

drzewa. „Był to najlepszy chłop, jakiego w życiu widziałem!”

Szóstego dnia stał się cud. Po raz pierwszy od wielu miesięcy John Keith ujrzał słońce. Widywał je już poprzednio, przeświecające przez blady welon mgieł i oparów zwisających ponad pustkowiem, lecz tego dnia zobaczył je w całej glorii, jakkolwiek tylko przez chwilę. Teraz zresztą słońce było z każdym dniem cieplejsze i bliższe, w miarę jak śnieżne chmury i mroźne tumany pozostawały w tyle, a gdy pojaśniało zupełnie, Keith skręcił na zachód. Nie śpieszył zbytnio, gdyż odzyskawszy swobodę chciał mieć możliwość samotnego radowania się własnym szczęściem. Poza tym wiedział, że należy nabrać sił i hartu, by odnieść zwycięstwo w nadchodzącej walce.

Teraz, gdy słońce i błękit otrzeźwiły mu umysł, spostrzegał na swej drodze setki dołów, widział setki możliwych poślizgnięć i setki potrzasków, czyhających na moment osłabienia czy nierozwagi. Dobrowolnie oddawał się w ręce kata. Tam, dokąd szedł, będzie żył stale w cieniu szubienicy. Nigdy nie będzie "pewien jutra. Dniem i nocą będzie się musiał pilnować i strzec, kontrolować mowę, ruchy, myśli, nigdy nie wiedząc, kiedy właśnie oko sprawiedliwości przejrzy maskaradę i nada sprawom właściwy bieg. Zdarzały się chwile, gdy rozważanie tych rzeczy wprowadzało go w stan szalonego lęku, podsuwając inne sposoby rozwiązania. Lecz wnet słyszał tuż obok chłodny, bojowy głos Connistona, czuł w żyłach przyływ gorącej krwi i nie zmieniał kierunku drogi.

Był Derwentem Conniston! Jednak, kim właściwie jest ów Derwent Conniston? Nić za nicią splatał sznur przypuszczeń, łącząc w jedno błahe, znane sobie fakty i zawsze dochodził do martwego punktu. Anglik, który umarł dla swoich bliskich, jeśli w ogóle bliskich posiadał, emigrant i najlepszy, najdzielniejszy człowiek honoru, jakiego kiedykolwiek znał. To było wszystko.

Niewiadoma przyczyna końcowego stadium budziła w nim stale wzruszenie, jakiego nie doznawał nigdy przedtem. Anglik zabrał do grobu swoją tajemnicę. Jemu, Johnowi Keith, będącemu obecnie Derwentem Connistonem, pozostawił w dziedzictwie nieodgadnioną zagadkę oraz zadanie, jeśli go ten cel pociągnie, dowiedzenia się, kim on właściwie był, skąd przybył i po co.

Dni zmieniały się w tygodnie, a pod stopami Keitha topniejąca powłoka śniegu wyłaniała wilgotną, słodko pachnącą ziemię. Na początku maja, gdy pustkowie zostało w tyle, oddalone o trzysta mil, Keith znalazł się w okolicy jeziora Reindeer. Cały tydzień przemieszkał w chacie samotnego trapera, po czym ruszył w stronę Cumberland House. Przybył do faktorii po upływie dziesięciu dni, a w dwa dni później, w słoneczne popołudnie, rozpalił ogień nad brzegiem żółtego Saskatchewanu.

Potężna rzeka, ukochanie chłopięcych lat, pieściła go znów tej nocy dawno zapomnianą, czarowną melodią. Księżyc świecił nad wodą, z południa dyszał ciepły wiatr, a Keith, paląc fajkę, siedział nasłuchując perlistero bulgotania fal u swoich stóp.

Wyrósł nad tą rzeką i zrósł się z nią w jedną całość. Kołysała jego pierwsze sny; strzegła młodzieńczych porywów. Wraz z nią roił o rzeczach, które miały przyjść. Była mu kolegą i przyjacielem. Zdało mu się obecnie, że w jej szepcie drga radość, szemrze powitalny dźwięk. Objął wzrokiem srebrzyste mielizny, migocące w blasku księżycy, i zalała go fala wspomnień. Trzydzieści lat to znów nie tak długo, by nie miał pamiętać swej drogiej matki i baśni, które opowiadała o zachodzie słońca, przed ułożeniem go do snu. Najpiękniejsze mówiły o kistecziwun, czyli o rzece; o tym, jak brała swój początek wśród zachodniego łańcucha gór, daleko, poza zasięgiem ludzkich stóp i oczu, jak spływała ze szczytów na niższe pagórki, a stamtąd w doliny, rosnąc wszerek i wzdłuż, i nabierając mocy, aż nurt jej przebiegał opodal ich drzwi, niosąc w swym łonie ziarna złotego piasku dające ludziom bogactwo.

Dzisiejszej nocy rzeka stanowiła jego jedyny skarb. Była jedynym druhem, do którego przyjaźni mógł się odwołać. Tylko jej śmiał powierzyć swe troski bez obawy zdrady.

Wyciągając ramiona zawołał:

— O, rzeko, moja rzeko! To ja, Johnny Keith! Wróciłem! A rzeka zdawała się odpowiadać szeptem:

— To Johnny Keith! Johnny Keith wrócił!

ROZDZIAŁ IV

PRINCE ALBERT

John Keith wędrował cały tydzień brzegami Saskatchewanu. Faktorię Kompanii Zatoki Hudsona, Cumberland House, od miasta Prince Albert dzieliło zaledwie sto czterdzieści mil lotem ptaka — lecz Keith nie trzymał się prostej drogi. Jedynie od czasu do czasu korzystał z udeptanych szlaków. Szedł wzdłuż rzeki, dodając w ten sposób dodatkowych sześćdziesiąt mil. Teraz, gdy godzina próby była tak bliska, potrzebował stanowczo obecności mocarnego druha. Szept toni dodawał mu odwagi i wiary w siebie; słuchając go, mógł jaśniej myśleć. Nocami koczował po żółtych otwartych wydmach, a gwiazdy migotały mu nad głową, gdy spał. Napawał się brzmieniem dźwięków, do których tęsknił obłądnie całymi latami: świergotem ptasząt, polujących lub kojarzących się w pary przy świetle księżycy, hukaniem sów i pluskiem kurek wodnych, wędrujących właśnie z południa na północ i zachód. Z południa również, kiedy miejscami prairie wypierały las aż nad samą rzekę, płynęło czasem na pół psie ujadanie małych żółtych kujotów — towarzyszy minionych konnych harców — a z drugiego brzegu niosło się wycie wilków. Keith kroczył wąską miedzą, dzielącą dwa światy. Tą miedzą była właśnie rzeka. Po jednej stronie w nieznacznym oddaleniu falowały prairie, zieleniały pola zbóż, wrastały w ziemię domy i osiedla ludzkie; po drugiej rozciągała się dzicz, a jej wrota wciąż jeszcze stały dla niego otworem. Siódmego dnia podróży, o zmierzchu, usłyszał nowy dźwięk. Był to gwizd lokomotywy z Prince Albert, pierwszy głos witający go na progu domowych pieleszy, i wspomnienia osaczyły go jak fale potopu. Teraz już poznawał wszystko, każdy szczegół. Wiedział, co mu objawi najbliższy zakręt. Po paru minutach usłyszał sapanie dragi. Była to oczywiście „Betty M.”, dozorowana przez starego Andy MacDuggana, który, z czarną fają w zębach, rył piach od przeszło dwudziestu lat.

Keith widział niemal Duggana, jak tkwi na swym posterunku, owiany chmurą tytoniowego dymu, czerwonobrody, z rozwichrzoną czupryną — kolos, zwany przyjaźnie przez całe miasto rzeczonym piratem. Keith uśmiechnął się, przypomniawszy sobie sentyment MacDuggana do wszelkich wędlin. Wokół „Betty M.” unosił się stale zapach wędzonki, a niektórzy dowodzili nawet, że sam Andy wonieje nią na znaczną odległość.

Teraz Keith porzucił brzeg rzeki i wstąpił na starą leśną drogę. Choć od dawna hartował nerwy na ów „psychologiczny moment” — jak mówił Conniston — czuł przykre podniecenie. Rozpoczął oto wielką grę. Za parę godzin miał rzucić na stół swój jedyny atut. Jeśli wygra, życie uśmiechnie się doń na nowo; jeśli przegra, śmierć wyszczerzy doń zęby.

Wracało stare pytanie, dławione tylokrotnie i z takim trudem. Czy warto ryzykować? Czyż ten dziwaczny splot wydarzeń nie został zapoczątkowany w chwili obłądzenia? Las był tuż! Mógł każdej chwili zawrócić! Gra właściwie jeszcze się nie zaczęła. Mógł ukryć karty, cofnąć wyciągniętą dłoń! Przez chwilę gotów był prawie to uczynić. Lecz wtem, wyłoniwszy się z gęstwy na otwartą przestrzeń, zobaczył dragę stojącą u brzegu i kroczącego naprzeciw niego Andy Duggana — we własnej osobie. Po chwili Keith zatrzymał się i wyciągnął dłoń na powitanie.

Podczas gdy Duggan zbliżał się szybko, Keith czuł, że serce bije mu w piersi jak szalone. Czyż mógł przypuścić, że stary go nie pozna? Zapomniał o brodzie, którą nosił obecnie, i o tym, jak wielka zmiana zaszła w nim w ciągu tych czterech lat. Pamiętał tylko, że Duggan był jego przyjacielem, że setki razy siadywali w tym miejscu o zmierzchu pogodnych dni, bając o rzece, którą obaj tak mocno kochali. Duggan mówił przeważnie o mitycznym raj, ukrytym za zachodnim łańcuchem gór — o

źródle rzeki, edenie złotych mamideł, gdzie Saskatchewan bierze swój początek i kędy on sam przed wielu laty szukał ukrytego skarbu, a choć pewny, że istnieje, nie mógł go znaleźć.

Czteroletni okres nie zmienił Duggana ani trochę. Chyba że brodę miał dłuższą i czerwiejszą, a czuprynę bardziej zwichrzoną. Keith ułowił nawet w powietrzu znaną woń wędliny. Wchłonął ją rozwartymi nozdrzami. Ongiś obrzydła mu; teraz gotów był ją wachać stale. Miał też szaloną chętkę wyciągnąć dłoń do nadchodzącego Duggana i rzec: Jestem John Keith! Czyż nie poznajesz mnie, Andy? Lecz zdławił w sobie tę chęć i wybełkotał:

— Mamy dziś piękny dzień! Duggan niepewnie skinął głową. Najwidoczniej nie wiedział, kim jest stojący przed nim mężczyzna, i to wprawiło go w zakłopotanie. Odparł:

— Nad rzeką jest zawsze pięknie, deszcz czy pogoda! Mówię prawdę!

Był to wciąż dawny Duggan, gotów walczyć o honor swej rzeki, gdyby jej kto co zarzucił. Keith miał ochotę go uściskać. Zwalił na ziemię plecak i rzekł:

— Sypiałem nad nią cały tydzień, po prostu dla towarzystwa. Idę z Cumberland House. Przyjemnie jest wracać do domu!

Urwał i zdjął czapkę, wytrzymał badawczy wzrok starego.

— Nie słyszał pan przypadkiem, czy MacDowell jest w koszarach? — spytał.

— Owszem, jest! — odparł Duggan.

To było wszystko. Andy spoglądał na Keitha niezwykle uparcie. Keith wstrzymał oddech. Dałby wiele, by wyczytać, co się dzieje pod czupryną Duggana. W mowie starego brzmiała ostra nuta. Nie pojmował jej. A na dźwięk imienia MacDowella w oczach „rzecznego pirata” błysnął ponury ogień.

— Inspektor nie rusza się stąd! — burknął. I ku ogromnemu zdumieniu Keitha minął go bez słowa i znikł w gęstwinie.

Taki postępek nie pasował do dobrodusznego Andy Duggana. Keith naciągnął czapkę i ruszył dalej. Na krańcu polany przystanął i obejrzał się. Duggan tkwił pośrodku drogi i głęboko zasunawszy ręce w kieszenie, patrzył w ślad za nim. Keith uczynił dłonią przyjazny gest, lecz Andy nic nie odpowiedział. Stał nieruchomo, jak sfinks, łyskając w słońcu czerwoną brodą, i nie spuszczał wzroku z postaci wędrowca, aż znikł poza drzewami.

Pierwszy eksperyment rozczarował Keitha. Nie tylko rozczarował, ale i zatrwożył. Co prawda, Andy nie poznał w nim Johna Keitha, ale również nie poznał w nim Derwenta Connistona! Duggan nie należał do ludzi, którzy zapominają przyjaciół po trzech, czterech latach. Keith widział przed sobą nową przeszkodę, której dotychczas nie zauważył. A jeśli MacDowell, tak samo jak Duggan, zobaczy w nim jedynie obcego?

Słowa Anglika bębniły mu w mózgu jak palce wybijające znany sygnał na więziennym murze. „Wygrasz lub przegrasz w chwili, gdy MacDowell spojrzy na ciebie po raz pierwszy!” Lecz teraz rozumiał dokładnie znaczenie przestrogi Connistona. Niebezpieczeństwo istniało nie tylko w możliwości rozpoznania w nim Johna Keitha; równie groźną była ewentualność, że nie zostanie rozpoznany jako Derwent Conniston!

Jakkolwiek osaczyły go złe przeczucia, doradzając odwrót — ich podszepty utonęły w powodzi szalonego podniecenia niebezpieczną grą. Teraz John Keith tęsknił wprost do chwili, gdy stanie oko w oko z MacDowellem. Dopiero wówczas rozpoczną się właściwe zapasy.

Po raz pierwszy pojął, że Anglik się mylił. On nie wygrywał lub przegrywał w chwili konfrontacji z inspektorem. Mógł co prawda przegrać, jeśli wyćwiczone oko MacDowella wykryje oszustwo, lecz nawet zwycięstwo wróżyło długą i uporczywą walkę.

Dawny jego świat był mu teraz wrogiem. Prawo żądało jego głowy. Keith nigdy jeszcze nie nienawidził tak głęboko odwiecznej zasady — oko za oko, ząb za ząb — jak w tej godzinie, gdy nad

doliną chroniącą jego rodzinne miasto ujrzał sine wstęgi dymów. W głębi duszy nigdy nie uważał siebie za zbrodniarza.

Wierzył, że mordując Kirkstone'a zabił gada, od dawna zasługującego na śmierć, a nawet sto razy powtarzał w myśli, że dla ludzkości byłoby stanowczo lepiej, gdyby syna spotkał także los ojca. Uwolnił społeczeństwo od niegodnego człowieka, a społeczeństwo chciało go za to ukarać. Mieszkańcy miasta, które ongiś kochał, które jeszcze kochał, byli jego wrogami i dla odzyskania na nowo ich utraconej przyjaźni musiał się przemycić w cudzej skórze.

Przypomniawszy sobie, że na skraju miasta jest polna droga, bez zabudowań z jednej strony, a docierająca wreszcie do małej uliczki, na końcu której znajduje się fryzjer. Przede wszystkim musi się tam dostać. Gdy w godzinę później wkroczył w uliczkę, był rad, że jest jeszcze wcześniej i nie spotka wielu ludzi. Uliczka zmieniła się znacznie. Długie, puste place wypełniły się domami. Keith zachichotał, wyczuwając komizm sytuacji. Ojciec jego i on sam opierali swoją przyszłość na gromadzeniu szeregu nie zabudowanych parcel. Ponieważ miasto poczęło się rozrastać, te parcele stanowiły obecnie piękną fortunę.

Nim dotarł do fryzjerni, przekonał się, że marzeniu mieszkańców Prince Albert stało się wreszcie zadość. Powodzenie nadbiegło ku nim w siedmiomilowych butach. Ludność wzrosła trzykrotnie. Był bogaty! Ale jednocześnie — umarł! W każdym razie umrze oficjalnie z chwilą, gdy złoży swój raport w ręce władz. Co za komiczna walka zacznie się między spadkobiercami nieżyjącego Johna Keitha.

Stara buda stała wciąż na dawnym miejscu, obok narożnego składu produktów spożywczych. Lecz fryzjer był nowy. Znajdował się w izbie sam jeden. Keith udzielił mu szczegółowych instrukcji i pokazał fotografię Connistona na jego legitymacji. Broda i wąsy muszą być właśnie tak ścięte, bardzo wytwornie, po angielsku i po wojskowemu dokładnie; włosy skrócone w miarę i gładko zaczesane do tyłu.

Gdy operacja była skończona, Keith powinszował fryzjerowi i sobie. Opalony na brąz jak Indianin dymem ogniska i smaganiem wiatru, prosty niby strzała, z mięśniami pełnymi mocy uśmiechnął się, patrząc w lustro i porównyując dawnego Johna Keitha z tym Derwentem Connistonem. Zanim wyszedł, podciągnął pas o jedną dziurkę ciaśniej. Potem ruszył prosto w stronę koszar Królewskiej Konnej Północno-Zachodniej Policji.

Droga wiodła przez główną arterię miasta. Mijał szeregi sklepów, które istniały już przed czterema laty. Minał hotel Saskatchewan i niewielkie biuro wymiany, uczipione na dawnym miejscu, u szczytu stromego skłonu opadającego urwiście ku rzece. Przed biurem stał sekretarz Anglik — Percival Clary. Jakże jednak zmieniony! Rozrósł się wszczep i wyciągnął wzwyż. Wyhodował wąsik, napomadowany teraz nienagannie. Spodnie miał starannie zaprasowane, trzewiki lśniące jak szkło i tkwił przed drzwiami swego ważnego przedsiębiorstwa, nonszalancko wsparty na lasce.

Keith uśmiechnął się stwierdzając, że Percival Clary zmienił się na równi z miastem, wraz z nadejściem tłustych lat.

Idąc dalej, szukał wzrokiem znajomych twarzy. Spostrzegał je od czasu do czasu, jednak większość przechodniów to byli obcy, pochłonięci interesami ludzie. Ulicą przejeżdżał nieraz automobil, jeden z dwudziestu znajdujących się w mieście, które do niedawna nie znało w ogóle takich pojazdów.

Ileokroć Keith spotykał kobietę lub dziewczynę, z trudem utrzymywał wzrok na wodzy. Dopiero teraz nabrał absolutnej pewności, że kobieta i anioł to jedno. Po drodze do koszar spotkał ich mniej więcej tuzin i za każdym razem chciał przystanąć, by do syta napaść oczy ich widokiem.

Nigdy nie był kobieciarzem. Szanował kobiety, wierzył, że stanowią lepszą część ludzkości, wielbił matkę, ale serce jego nie znało dotąd miłosnej rozkoszy lub rozpaczy. Teraz całą duszą

modlił się do tych napotkanych dwunastu aniołów. Niektóre były ordynarne, niektóre szpetne, lecz trafiło się parę ładnych twarzyczek. Dla Keitha ich zewnętrzny wygląd nie podlegał obecnie żadnej krytyce. To były białe kobiety i w jego oczach wszystkie stanowiły ideał piękna. Najbrzydszą uważał za śliczną. Chciał rzucić w górę kapelusz i wiwatować radośnie. Cztery lata — i oto wrócił do krainy Bożej! Na chwilę zapomniał nawet o MacDowellu.

W głowie mu się mąciło, gdy dotarł do koszar. Życie było jednak piękne! Warto o nie walczyć, a on jest przecie dobrym zapaśnikiem. Ruszył wprost do biura MacDowella. Zastukał do drzwi i po chwili ukazał się w nich sekretarz szefa.

— Inspektor jest zajęty! — rzekł w odpowiedzi na pytanie Johna Keitha. — Ale zamelduję mu!

— Że jestem tu w bardzo ważnej sprawie! — uzupełnił Keith. — Przyjmie mnie niezawodnie, gdy pan powie, że przynoszę wieści, dotyczące niejakiego Johna Keitha!

Sekretarz znikł w jednych z dalszych drzwi. Minęło dobre pół minuty, nim wrócił. — Inspektor prosi! — rzekł.

Keith odetchnął głęboko, by uciszyć rozszalałe serce. Pomimo całej swej odwagi czuł, jak gdyby czyjaś chłodna dłoń ciągnęła go wstecz. Usłyszał znów zamierający szept Connistona: „Pamiętaj, stary druhu, wygrasz lub przegrasz w chwili, gdy MacDowell spojrzy na ciebie po raz pierwszy!”

Czy Conniston miał rację?

Wygra lub przegra, ale będzie walczył tak, jak Anglik walczyłby na jego miejscu!

Wyprostował się i wszedł, by stanąć twarzą w twarz z MacDowellem, najgenialniejszym łapaczem ludzi na dalekiej północy.

ROZDZIAŁ V

ŁAPACZ LUDZI

Pierwszą osobą, na którą padł wzrok Keitha, nie był wcale MacDowell, lecz młoda dziewczyna. Siedziała na wprost drzwi, spoglądając na wchodzącego mężczyznę, a światło padające przez okno wydobywało wyraźnie z ogólnego tła jej twarz i włosy.

Wyglądała nadzwyczaj efektownie. Była uderzająco piękna. Słońce, zalewając pokój złotym lśnieniem, dodawało jej splotom migotliwych błysków; oczy, jak to Keith zauważył, miały siwy, niezwykle ładny odcień, a patrzyły z ogromną uwagą, podczas gdy w zeszywnieniu twarzy i ciała malowało się silne napięcie. Keith zauważył to wszystko w oka mgnieniu, po czym zwrócił się do MacDowella.

Inspektor siedział przy stole zarzuconym papierami i natychmiast Keith wyczuł na sobie jego przenikliwy wzrok. Przez chwilę doznał przykrego zmieszania. Potem stęzał i spojrzał prosto w oczy MacDowella. Były to, jak uprzedzał Conniston, źrenice mogące przewiercić nawet stalową zbroję. Nieokreślonej barwy, głęboko osadzone pod kępami zwichrzonych siwych brwi, wpiły się w niego od pierwszego wejrzenia. Keith zobaczył szpakowate, starannie napomadowane wąsy, krótko przyciętą siwą czuprynę, surową, muskularną twarz i — złożył wojskowy ukłon.

Na plecach czuł zimny dreszcz. W stalowych rysach inspektora nie było śladu powitalnego drgnienia ani znaku przyjaznego uśmiechu. Lecz raptem twarz MacDowella zmieniła się nieznacznie i Keith po raz pierwszy zobaczył człowieka będącego nie tylko zwierzchnikiem, lecz i przyjacielem Derwenta Connistona.

Inspektor wstał, przechylił się przez stół i rzekł głosem pełnym zdziwienia i radości:

— O wilku mowa, a wilk tu! Jak się masz, Conniston? Więc wygrał! Keith poczuł uścisk dłoni MacDowella, jak przez mgłę usłyszał jego głos; przed oczyma przesunęła się stalowa twarz Derwenta Connistona.

Stał wyprostowany, z uniesioną głową, nawet uśmiechnięty lekko, ale nie zdawał sobie wcale sprawy z tego wszystkiego, gdyż to, co czynił, czynił machinalnie. MacDowell, wciąż ściskając w swojej jego dłoń, drugą dłonią, położoną na ramieniu, obrócił go lekko i Keith znalazł się w obliczu dziewczyny patrzącej nań, jakby był trupem dopiero co powstałym z grobu.

Głos MacDowella brzmiał ostro:

— Conniston, przywitaj pannę Miriam, córkę sędziego Kirkstone'a!

Keith uklonił się i przez chwilę ścisnął w swym ręku rękę dziewczyny, którą uczynił sierotą. Była zimna i martwa. Jej wargi drgnęły, szepcząc jego imię. Usta Keitha próżno siliły się przemówić. MacDowell gadał coś głośno o hegemonii prawa i szczytnym powołaniu policji. I raptem, przerywając potok własnych słów, rzekł krótko:

— Conniston! Schwytałeś zbiega?

To pytanie otrzeźwiło Keitha. Skinął lekko głową i rzekł:

— Pozwalam sobie zameldować, że John Keith nie żyje! Spostrzegł, że Miriam Kirkstone drgnęła, jakby te słowa

zadały jej niespodziewany cios. Najwidoczniej czyniąc straszny wysiłek, by ukryć zmieszanie, zwróciła się do MacDowella.

— Pan był niezmiernie uprzejmy, panie inspektorze! Mam nadzieję, że będzie mi wolno pomówić wkrótce z panem Connistonem — o Johnie Keith!

Skinęła lekko głową na pożegnanie i wyszła.

W oczach MacDowella odmalowało się zdziwienie.

— Już od pół roku zachowuje się tak zagadkowo! — tłumaczył. — Ogromnie zajęta tym Keithem i jego losami. Zdaje mi się, że równie niecierpliwie jak ja wyglądała twego powrotu. A najciekawsze, że przed sześciu miesiącami cała ta sprawa zdawała się jej wcale nie obchodzić. Obawiam się nieraz, że z rozpaczy po śmierci ojca dostała lekkiego bzika. Swoją drogą, śliczna dziewczyna, Connistonie! Śliczna, bez dwóch zdań! Natomiast jej brat to istny śmierdziel! Zresztą, pamiętasz go zapewne?

Przysunął drugie krzesło tuż do swego i skinął na Keitha, by siadł.

— Zmieniłeś się, Conniston!

Słowa padły ostro — jak strzał. Były tak niespodziewane, że Keith poczuł je w każdym włóknie nerwów. Błyskawicznie pojął, co MacDowell ma na myśli. Nie był absolutnie podobny do zmarłego Anglika; brakło mu jego swobodnych manier, chłodnej, wyniosłej uprzejmości i nie dającej się naśladować nonszalanckiej wytworności ruchów. Wytrzymując na sobie badawczy wzrok inspektora, widział jednocześnie Connistona, siedzącego na tym samym krześle, pokręcającego wąsa i uśmiechającego się tak niedbale, jakby dopiero wczoraj wyruszył na północ, a dziś z niej powrócił. Conniston był to człowiek, który patrząc prosto w oczy inspektora lub nawet głównego dowódcy i pogodnie ignorując regulamin — gotów był rzec: Piękny dzień dziś mamy! Prawda, stary!

Keith miał wrodzone poczucie humoru. Jakże duch Anglika musi się wściekać, jeśli jest obecny przy tej rozmowie! Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Czyś był tam kiedy, sam jeden, w czasie nieustającej nocy? — spytał. — Sześć miesięcy tortur, gdy gwiazdy drwią z ciebie bez przerwy, a lisy naszczekują bez ustanku, że omal nie dostajesz obłędu. Przebyłem podobny okres dwukrotnie i wierzę, że masz rację. Zmieniłem się. Wątpię, żebym kiedy powrócił do dawnej normy. Czegoś mi brak. Nie umiem powiedzieć, czego — ale tak jest! Zdaje mi się, że tylko połowicznie tu wróciłem! A ten biedak John Keith cały tam został...

Uczuł, że zrobił szczęśliwe posunięcie. MacDowell wysunął ze stołu szufladę i podetknął mu pod noc pudełko grubych cygar.

— Zapal, Derry! Zapal i opowiedz, co się stało! Na Boga, to nieprawda, żeś tylko połowicznie wrócił! Po tygodniu wszystko się ułoży! Wszystko będzie jak dawniej!

Przyłożył płonąca zapalkę do cygara Keitha.

Przez godzinę Keith opowiadał dzieje pogoni. Była to jego Iliada. Mówiąc czuł przy sobie obecność Connistona. Zapomniał prawie o żywym człowieku, który słuchał go chciwie; widział jedynie mękę długich miesięcy i lat, walkę dwu istot, ucieczkę i pogoń, głód i mróz oraz mrok nieskończonej nocy, zaludnionej rozpaczą i szaleństwem. Powierzał dzieje własnej porażki, a przez jego usta przemawiał Conniston. Potem role się odwróciły. Mówił, jak strasznie został ukarany Keith — a myślał o Angliku. Gdy zaś dotarł do ostatnich jego dni, w samotnej chatce, na skraju wielkiego pustkowia — w jego głosie zabrzmiało niemal łkanie.

— Oto, jak umarł John Keith, dżentelmen i mężczyzna!

Myślał o Angliku; o tym, jak spokojnie i odważnie uśmiechały się jego oczy w ostatniej godzinie, o pożegnalnych słowach, o uścisku ręki. MacDowell widział to wszystko, jakby sam był tam obecny. Przesunął dłonią po oczach, niby zgarniając z nich mgłę. Gdy Keith skończył, inspektor stał długo odwrócony doń plecami, patrząc na zieloną dolinę Saskatchewanu. Kiedy jednak powtórnie zwrócił się do Keitha, był to znów dawny, żelazny człowiek — uosobienie bezlitosnego prawa.

— Po dwu i pół latach takiego życia nawet morderca musiał ci się wydać aniołem! Wspaniale spełniłeś swój obowiązek, Conniston! Całą tę sprawę prześlę do departamentu i jeśli nie mianują cię

sierżantem, podam się do dymisji. Żałuję jednak, że Keith nie dożył i nie mógł być oddany w ręce kata!

— I tak zapłacił z nawiązką! — bąknął Keith ponuro.

— Nie, nie wyrównał nawet rachunku! On po prostu umarł! Zapłaciłby w chwili zawiśnięcia na szubienicy! Jego zbrodnia wołała o pomstę do nieba! Zabił dla ukojenia nienawiści! Wykreślę jego imię z moich ksiąg, ale żal we mnie pozostanie. Dałbym chętnie rok życia, byle go teraz mieć przed sobą. Cena nie wydaje mi się wygórowaną! O Boże! cóż by to był za wspaniały czyn; sprowadzić Johna Keitha po tyloletniej pogoni!

Zacierał ręce i uśmiechał się, mówiąc. Oczy lśniły mu jak węgle. Prawo! Tak, był uosobieniem prawa, bez serca i duszy, łaknący jedynie ludzkiego mięsa. Keith doznał uczucia wstrętu.

Ktoś zapukał do drzwi.

MacDowełł rzekł głośno: „Proszę” — i drzwi otwarły się z wolna. Cruze, młody sekretarz, wsunął głowę do pokoju.

— Szan Tung czeka! — oznajmił.

Keith doznał wrażenia, że niewidzialna ręka zdławiła mu krtań. Wykonał pół obrotu, by ukryć wyraz twarzy. Szan Tung! Wiedział już teraz, co kazało mu się cofnąć! Wiedział, dlaczego strapione oblicze Connistona ścigało go przez pustkowie! Wiedział, co Conniston chciał rzec w chwili agonii.

Zapomniał o Chińczyku Szan Tungu!

ROZDZIAŁ VI

CHIŃCZYK

Szan Tung czekał w hallu, za gabinetem sekretarza.

MacDowell był uosobieniem nieugiętego prawa; Szan Tung uosabiał mistycyzm i niezmiennosc własnej rasy. Jego twarz była maską wyrytą w żywym, a jednak nieruchomym materiale: spokojna, cierpliwa, pozbawiona drgań jakichkolwiek namiętności. Co się działo w mózgu, poza osłoną oczu wyglądających z fałdów żółtej skóry, wiedział jedynie sam Szan Tung. MacDowell dał za wygraną, nie próbując przeniknąć go lub zrozumieć. Prawo, nie mogąc zaspokoić ciekawości, zgodziło się spoglądać na Chińczyka jak na czarodzieja, jak na cudowny mechanizm, jak na nadczłowieka obdarzonego niezwykłą potęgą. Tą potęgą była niewiarygodnie rozwinięta zdolność zapamiętywania twarzy. Gdy Szan Tung rzucił raz okiem na czyjeś rysy, wyrył je sobie w mózgu na szereg lat. Czas ani' jakiegokolwiek zmiany nie mogły go wprowadzić w błąd, a korzystało z tego prawo.

W raporcie do głównego dowództwa MacDowell określił go lapidarnie: *Naczelnny prokurator chiński, przebywający na urlopie, albo — wcielony diabeł! Wiek — niewiadomy! Przeszłość — zupełna tajemnica! Przybył do Prince Albert w 1908 r. w lakierkach i z brylantem na palcu. Obcy wtedy i obcy dziś. Właściciel i zarządzający kawiarnią, Szan Tung. Wykształcony, kobieco układny, lecz jedyny człowiek, z którym bałbym się zostać w ciemnym pokoju sam na sam. Posługuję się nim, ale mu nie dowierzam, podejrzewam go i lękałbym się go w pewnych okolicznościach. O ile wiem, nie popełnił dotychczas żadnego przestępstwa i nie jest w kolizji z prawem. A jednak taka łasica musiała już prowadzić grę i to nie było jaką!*" — pisał do komisarza.

Takim był ów człowiek, o którym Conniston nie chciał mówić, a którego Keith obawiał się spotkać.

Szan Tung stał długą chwilę przy oknie, spoglądając na zalany słońcem plac ćwiczeń oraz na gęsty pas zieleni stanowiący jego tło. Bezmyślnie gładził szczupłą dłoń futryną okna. Na wargach igrał mu obojętny półuśmiech. Nikt nigdy nie oglądał jego twarzy w pełni roześmianej. Włosy miał czarne, lśniące i starannie zaczesane. Ubrany był bez zarzutu, postaci szczupłej i giętkiej jak młoda panna.

Gdy Cruze, stojąc w drzwiach, zameldował, że MacDowell prosi, Szan Tung miał wciąż jeszcze przed oczyma złotowłosą głowę Miriam Kirkstone, taką, jak mu mignęła przed chwilą w słonecznym blasku. Oddychał z lekkim pomrukiem, jak rozespany kot, splatając i rozplatając bez przerwy szczupłe palce. Kiedy jednak usłyszał głos sekretarza, ręce mu zmartwiały, pomruk ustał i uśmiech znikł z jego warg. Odwrócił się z wolna. Cruze milczał. Wykonał teraz jedynie znaczący ruch głową i stopy Szan Tunga jęły kroczyć bezszelestnie.

Tylko ledwie dosłyszalny skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi obwieścił jego wejście do pokoju inspektora. Jedynie Szan Tung, nikt inny, potrafił się tak cicho wślizgnąć. Cruze zadygotał. Odczuwał zawsze przykry dreszcz, ilekroć Azjata go mijał; przysięgał, że Szan Tunga otacza niesamowita woń, jak opar trucizny.

Keith patrzył w okno i czekał. Gdy tylko drzwi się uchyliły, wyczuł obecność Azjaty. Wszystkie nerwy były w nim napięte do ostatnich granic. Poczucie, że traci panowanie nad sobą, i to z racji Chińczyka, doprowadzało go do obłędu. Wiedział, że powinien się odwrócić. Unikać wzroku Szan Tunga, znaczyło dobrowolnie pograć całą sprawę.

Zmusił się do nonszalanckiego pokręcenia wąsa wzorem ulubionego ruchu Connistona i odwrócił

się z wolna, podnosząc oczy na Szan Tunga.

Ku jego niewymownemu zdumieniu Chińczyk zdawał się całkowicie ignorować jego obecność. Spojrzał nań jedynie raz i to przelotnie. Głosem, który ktoś stojący poza drzwiami mógł uważać za głos kobiety, mówił do MacDowella:

— Widziałem człowieka, którego pan mi przysłał do obejrzenia, panie MacDowell! To Larsen! Zmienił się ogromnie w ciągu ośmiu lat. Zapuścił brodę. Stracił jedno oko. Posiwiał. Ale to Larsen!

Wytworność jego mowy i niewzruszone brzmienie głosu spowodowały, że Keith drgnął tak, jak chwilę przedtem drgnął młody sekretarz. Na twarzy MacDowella błysnął wyraz triumfu.

— Nie miał co do pana żadnych podejrzeń, Szan Tung?

— Nie domyślił się nawet, że go rozpoznałem! Będzie go pan miał, gdy — tu z wolna obrócił się w stronę Keitha — pan Conniston pójdzie go zaaresztować!

Schylił głowę i bezszelestnie cofał się ku drzwiom. Jego oczy, patrzące spomiędzy żółtych szczelin, nie opuszczały twarzy Keitha. Keithowi zdawało się, że dostrzega w nich złowieszczy błysk. W głosie Azjaty pojawił się ledwo dostrzegalny ślad nowego brzmienia, a jego palce drgały znów, na pozór machinalnie, jednak w innym tempie, niż gdy spoglądał przez okno na pannę Miriam Kirkstone. Powieki opadły nisko, a źrenice robiły wrażenie dwóch stalowych ostrzy. Keith miał uczucie, że Chińczyk wywleka mu tymi ślepiami duszę z ciała. Sekunda i Szan Tung znikł.

— Istny diabeł! — sapnął MacDowell. — Gdy odejdzie, zdaje mi się zawsze, że przed chwilą w pokoju była żmija! W dalszym ciągu nienawidzi ciebie, Derry! Trzy lata nic pod tym względem nie zmieniły. Ma do ciebie wstręt — jak do trucizny. Zdaje mi się, że zamordowałby cię chętnie, gdyby mógł to uczynić bezkarnie. A ty, stary durniu, podkręcasz węża i uśmiechasz się tylko. Na twoim miejscu byłbym stanowczo mniej spokojny!

Keith słuchał i zapytywał siebie w duszy, dlaczego Szan Tung tak dalece nienawidzi Connistona?

MacDowell nie dodał nic, co by mogło stanowić jakąś wskazówkę. Układał teraz w jeden stos papiery rozsiane po jego biurku.

— To bez wątpienia Larsen, jeśli Szan Tung tak twierdzi! — rzucił w stronę Keitha. — A potem, jakby dopiero teraz myśląc o danej sprawie: — Zaciągniesz się ponownie, co, Conniston?

— Mam jeszcze miesiąc służby czy coś w tym guście! — odpowiedział Keith. — A potem, tak sądzę, odnowię kontrakt!

— Dobrze! — z zadowoleniem stwierdził MacDowell. — Za miesiąc będę miał dla ciebie nominację na sierżanta! Tymczasem możesz uważać, że jesteś na urlopie i robić, co ci się żywnie podoba. Znasz Brady'ego, agenta kompanii? Wyruszył w podróż, w górę Mackenzie, a to klucz od jego mieszkania. Wiem, że się ucieszysz, wchodząc znów pod prawdziwy dach, a Brady nie będzie miał nic przeciwko temu, o ile zachowam dla niego po trzydzieści dolarów miesięcznie, jako komorne. Oczywiście koszary stoją dla ciebie otworem, ale pomyślałem, że urlop zechcesz spędzić w odmiennych warunkach. Znajdziesz tam wszystko, czego dusza zapagnie, od *tub* począwszy, a kończąc na dziadku do orzechów. Ja zaś znam pewnego Japończyka, który poszukuje właśnie miejsca jako kucharz. Co o tym sądzisz?

— Wspaniale! — wykrzyknął Keith. — Idę tam zaraz i będę wdzięczny za tego Japończyka! Proszę mu też powiedzieć, żeby od razu przyniósł coś na obiad!

MacDowell wręczył mu klucz i w dziesięć minut później Keith, straciwszy z oczu koszary, piał się na zielone zbocze, u szczytu którego stał dom agenta.

Jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że nie jest pierwszorzędnym graczem, to jednak sądził, że odniósł na razie zupełny sukces. Andy Duggan nie poznał go, choć był w swoim czasie jednym z jego najbliższych przyjaciół. MacDowell nie wykazał zbytnich podejrzeń. A Szan Tung?

Szan Tung właśnie działał mu okropnie na nerwy, choć dusza płonęła w nim radością udatnej walki. Nie mógł zapomnieć widoku Chińczyka, cofającego się do drzwi gabinetu inspektora, ani jego oczu: dwu świdrów, przesywających go na wylot. W źrenicach Szan Tunga nie dostrzegł nienawiści. Był tego pewien. Nie mógł jednak określić uczucia, które w nich wyczytał. Robiły wrażenie ślepi mechanicznego potwora. Tym niemniej Szan Tung był człowiekiem!

Keith próbował zrzucić z siebie gniotący ciężar złych przeczuć. Podejrzewał, że jednak nie udało mu się wyjść cało spod złowieszczygo wzroku Szan Tunga. Wykonując wiele czynności, próbował zepchnąć moralny niepokój na dalszy plan. Zapalił jedno z sześciu cygar, które MacDowell wsunął mu do kieszeni. To była wielka rozkosz czuć znów cygaro między zębami i wciągać jego aromat. U szczytu pagórka, na którym zbudowano dom agenta, przystanął i rozejrzał się wokół. Instynktownie oczy jego zwróciły się najpierw na zachód.

W tym kierunku rozciągała się przed nim połowa miasta, a u jego końca czerniały stoki porośnięte borem, migotała rzeka i lśniły zielenią szmaragdowe roztocza prerii. O pół mili zaledwie była niewielka kępa drzew, a w jej cieniu, prawie nad samą rzeką, stał rodzinny dom. Sam budynek taił się pośród pni i listowia, lecz nad wierzchołki konarów wystrzelał szczyt komina z czerwonych cegieł, jakby z dala witając wygnańca.

Keith zapomniał o Szan Tungu; zapomniał o MacDowellu; zapomniał nawet, kim jest. Samotność pochłonęła go jak morze. Zdało mu się, że czerwony szczyt komina zmienił w kamień grobowy na mogile kochanych istot. Gdy zwrócił się w stronę domu agenta, w gardle czuł silne dławienie, oczy zasły mu mgłą.

Wszedłszy do środka, zastał chłodny półmrok. Rozsunął firanki, jedna po drugiej, i słońce zalało wnętrze. Brady zostawił wszystko w wielkim porządku i Keith wyczuł wnet atmosferę pogodnej niefrasobliwości, która podziałała zbawiennie na jego rozkołatane nerwy. Brady był domatorem, jakkolwiek żył w kawalerskim stanie. Nazwał swe domostwo Chatynką, gdyż zbudowano je wyłącznie z drzewa i nawet kobieca ręka nie potrafiłaby uczynić tego mieszkania bardziej wygodnym. Keith oglądał właśnie bawialnię. W jednym jej końcu widniał duży komin, pełen smolnych szczap, a tuż przy palenisku leżał pęczek brzozy kory, prosząc, zda się, o ogień. Opodał stało biurko agenta i przysunięty doń wygodny fotel; mokasyny, zastępujące nocne pantofle, leżały na niskim taborecie; stół pokrywały fajki, paczki tytoniu, ilustrowane pisma i książki. Nad tym bezładnym zgromadzeniem butelka starej whisky, na pół jeszcze pełna, unosiła wysoko bursztynową szyjkę. Keith roześmiał się mimo woli. Ujrzał przed sobą martwe gałki szklanych ślepi osadzonych w potężnym łbie starego łosia, zdobiącym szczyt kominka.

Potem objął wzrokiem ścianę, przybraną szeregiem myśliwskich trofeów, obrazami, raketami śnieżnymi, bronią — wszystkim tym, co czyniło z życia Brady'ego pracowite i przyjemne bytowanie.

Z bawialni Keith widział pokój jadalny, a dalej — przez otwarte drzwi — kuchnię. Skontrolował ich zawartość i uznał, że MacDowell miał rację. W szafach nie brakło niczego; były nawet dwa dziadki do orzechów. W przyległym schowku znalazł łazienkę. Była wielkości średniego stołu, ale *tub* mógł wygodnie pomieścić dorosłego mężczyznę, gdy zaś Keith otworzył okno i wysunął przez nie głowę, stwierdził, że jest on połączony ze zbiornikiem na wodę umieszczonym dość wysoko, by stwarzać pewne ciśnienie, a dość nisko, aby łapać deszcz spływający z rynny.

Roześmiał się znów, nie dlatego, żeby był szczęśliwy, lecz że chwilowo coś zdołało go zająć i ubawić. Po skończonej lustracji czuł do agenta wyraźny sentyment. Postanowił się rozgościć w sypialni Brady'ego. I tu również znalazł fajki, pisma oraz lampę na stoliku przysuniętym do wezłowania łóżka. Zbadawszy pokój szczegółowo, stwierdził, iż Chatka posiada nawet telefon.

W tym czasie znikło słońce. Z zachodu parła gęstwa ołowianych chmur. Otworzył drzwi wiodące

w kierunku rzeki, a wiatr zapowiadający burzę zwichrzył mu włosy i ochłodził rozpaloną twarz. Sprawilo mu to przyjemność. Ułowił w nim oddech dalekich, bezludnych prerii, woń lasów i kuszący zew górskich szczytów, między którymi leżała kolebka Saskatchewanu. Jeszcze jako dziecko marzył, by pójść kiedy za tym wołaniem i odnaleźć źródło umiłowanej rzeki.

Niebo czerniało coraz bardziej, a wraz z dalekim hukiem grzmotu błyskawice, jak lśniące bagnety, jęły drzeć zasłonę chmur. Serce nuciło słowa, których wargi nie śmiały wyrzec. Dlaczego nie ma pójść za głosem, wzywającym go od tylu lat? Oto nadszedł czas, by usłuchać wołania! Po co kusić los, po co kłaść głowę w pętlę stryczka, gdy tam, u źródeł rzeki, leży łatwo dostępny eden jego marzeń? Wyciągnął ręce. Krzyknął głośno w szalonej ekstazie. O, nie wszystko przepadło! Nie wszystko umarło! Ponad cmentarzyskiem złudzeń lśni zorza nowych pragnień! Pójdzie tam! Dziś jeszcze lub jutro zacznie tworzyć określone plany.

Obserwował ulewę mknącą na skrzydłach wiatru; rwący, syczący wał, pod naporem którego drzewa u podnóża skłonu chyliły głowy jak rozmodlony tłum. Widział pochód deszczu. Schwycił go, nim zdążył umknąć w głąb domu, więc z czupryną pełną wody podparł drzwi ramieniem, by je wreszcie zatrzasnąć. Keith lubił takie burze. Grom przewalał się nad jego głową jak tysiące ładownych wozów, łomocące po wyboistym bruku.

Wnętrze domu ściemniało, jakby wieczór już nadszedł. Keith ukląkł przed kominkiem, wziął do ręki pęczek brzozonej kory i potarł zapałkę. Przez chwilę płomień zdawał się przygasać, potem kora zajęła się raptownie, jak naoliwiony papier, i w kominie zahuczał ogień. Keith nie lubił używać cudzych fajek, wyciągnął więc własną i nabił ją tytoniem agenta. Była to angielska mieszanka, mocna i aromatyczna. Podczas gdy ogień rozjaśniał pokój, a dym tytoniu napełniał go przyjemną wonią, Keith siadł wygodnie w fotelu agenta i wyprostował nogi z głębokim westchnieniem ulgi. Marzył sennie przy akompaniamencie burzy. Postanowił, że stworzy sobie taki właśnie dom, wśród niedostępnych szczytów, u kolebki Saskatchewanu. Zbuduje go na wzór Chatki Brady'ego i zrobi nawet łazienkę, zaopatrzoną w ten sam pomysłowy rezerwuuar wodny. A po paru latach ludzie zapomną, że istniał kiedykolwiek człowiek, zwany Johnem Keith.

Raptem coś porwało go na równe nogi. Był to dzwonek telefonu. Po czteroletniej włóczędze ten dźwięk w przykrych osób szarpnął mu nerwy. Zapewne dzwonił MacDowell, by

zakomunikować coś o kucharzu Japończyku lub spytać, jak mu podoba mieszkanie. Przypuszczalnie chodziło tylko o to. Uspokajał sam siebie, mówiąc głośno te słowa, podczas gdy niepewną dłonią kładł na stole fajkę. A jednak, wyciągając rękę do telefonu, miał wielką ochotę cofnąć się i uciec. Coś szeptało u do ucha, by zamiast odpowiadać, zwać stąd, korzystając ciemności i ulewy — i szukać schronienia w górach. Szarpnął słuchawkę, zdjął ją z widełek i podniósł do ucha. — Hallo!

Nie odpowiedział mu głos MacDowella. Nie był to również Szan Tung. Keith poznał stłumiony burzą głos Miram Kirkstone.

ROZDZIAŁ VII

CHATKA

Dlaczego Miriam Kirkstone dzwoniła do niego teraz, gdy ziemia drżała od huku piorunów, a niebo lśniło siecią błyskawic? Pytanie zadawał sobie Keith, łowiąc głos płynący z drugiego końca telefonicznego drutu. Był on gorączkowo podniecony, jakby mówiąca obawiała się, że burza może jej przeszkodzić.

Panna Kirkstone donosiła, że próbowała już dzwonić do MacDowella i jakkolwiek uzyskała połączenie, było to po jego wyjściu z biura. Prosi o przebaczenie, że zabiera mu czas zaraz po powrocie z tak długiej podróży, lecz jest pewna, że się o nie, pogniewa. Błaga, by zechciał przyjść dziś wieczór o ósmej. To takie dla niej ważne! Czy więc przyjdzie?

Keith, nie zastanawiając się zbyt długo, wyraził zgodę. Usłyszał jej krótkie: dziękuję, a potem: do widzenia — i oszołomiony powiesił, trąbkę. Rozmowa trwała zaledwie parę chwil. Głos dziewczyny drżał nerwowo i Keith osądził, że panna Kirkstone boi się burzy, tym bardziej więc zdziwił się, że nie odłożyła rozmowy do chwili, gdy grzmoty ustaną.

Kołatanie do drzwi przerwało jego myśli. Otworzył i wpuścił przybysza. Był to mały człowieczek, przemokły do cna, a jednak uśmiechnięty od ucha do ucha. Przedstawił się jako japoński kucharz. Miał wzrost szesnastoletniego chłopaka, a z jego włosów i odzienia ściekały strugi wody, podczas gdy płaszcz wydymał się na nim zabawnie, wypchany paczkami różnorodnych zapasów.

Keith polubił go od pierwszego spojrzenia. Uśmiech Japończyka miał nieodparty urok i podczas gdy kucharz, jak wykąpany seter, mknął do kuchni, pozostawiając za sobą kałuże wody, Keith podążył za nim i pomógł mu wyładować produkty. Nim skończyli z tą robotą, Japończyk powiadomił Keitha, że deszcz jest niezwykle przyjemny, że na imię mu Walii, że pragnąłby pobierać pięć dolarów tygodniowo, a na kuchni zna się — jak anioł. Keith wybuchnął śmiechem, a Walii tak był rad z nowej posady, że omal nie puścił się w płasy.

Japończyk, pozostawiony sam sobie, objął posiadanie kuchni i wkrótce potem Keith jął łowić pewne dźwięki oraz rozkoszne wonie, które utwierdziły go w przekonaniu, że Walii bez straty czasu przystępuje do wykonywania swoich czynności. Przybycie Japończyka posłużyło jako pretekst do rozmowy z MacDowellem. Keith w głębi duszy pragnął nieodparcie usłyszeć znów głos inspektora. Dręczyła go obawa, że Szan Tung mógł powrócić i pościć mózgi MacDowella ziarno podejrzeń; miał przy tym nadzieję, że inspektor rzuci trochę światła na tajemnicze zachowanie Miriam Kirkstone. Burza ustała; ulewa przeszła w rześisty, równy deszcz. Keith zażądał połączenia i doznał znacznej ulgi, słysząc niezmiennie przyjazny głos zwierzchnika. To go upewniło, że Szan Tung, jeśli nawet miał jakie wątpliwości, zachował je dla siebie. MacDowell pierwszy poruszył temat Miriam Kirkstone.

— Okropnie zależało jej na tym, by z tobą pomówić — rzekł. — Jestem szczerze zaniepokojony i z pewnego względu chciałbym się z tobą widzieć, zanim się do niej udasz dziś wieczór.

Keith wciągnął nosem powietrze. — Walii zadzwoni na obiad w ciągu najbliższej półgodziny. przyjdź do mnie. Sądzę, że podjemy sobie niezgorzej! — Przyjdę — odpowiedział MacDowell. — Oczekuj mnie lada moment! W kwadrans później Keith pomagał mu się wyzwolić się z przemoczonego płaszcza. Oczekiwał, że inspektor zrobi wesołą uwagę na temat ognia w kominku i rozkosznej woni płynącej z sanktuarium Japończyka, lecz doznał rozczarowania. MacDowell stał

chwilę, plecami obrócony do ognia, ubijając palcem tytoń w fajce, i na jego twarzy malowało się wyraźne zakłopotanie.

Spojrzał na telefon i skinął ku niemu głową.

— Bardzo chce się z tobą widzieć, prawda, Conniston? Myślę o panie Kirkstone!

— Coś na to wygląda! MacDowell usiadł i potarł zapałkę.

— Nie zrobiła na tobie wrażenia podniecone? — pytał, puszczać z fajki pierwszy kłęb dymu.

— Jak gdyby stało się z nią lub miało stać coś ważnego? Nie gniewasz się, że cię tak badam, Derry?

— Ależ ani trochę! — odparł bez namysłu Keith. — Przeciwnie, rad bym nawet, żebyś mi pomógł rzucić na tę sprawę trochę światła.

W oczach MacDowella malował się wyraźny niepokój.

— To doprawdy dziwaczne, że telefonowała do Chatki zaraz po twym powrocie i to w czasie burzy! Myślała najpierw, że jesteś jeszcze u mnie! Doprawdy, słyszałem, jak elektryczność trzaska na telefonicznym drucie! Musiało ją coś mocno przypilić!

— Zapewne!

MacDowell milczał przez chwilę, nie spuszczać wzroku z Keitha, jakby go chciał wy badać.

— Powiem ci szczerze, że panna Kirkstone głęboko mnie interesuje! — rzekł wreszcie. — Nie widziałeś jej bodaj przed śmiercią ojca. Znajdowała się wówczas na pensji, a gdy wróciła, ty polowałeś już na Johna Keitha. Nigdy nie byłem kobieciarzem, Derry, jednak przyznam, że jeszcze pół roku temu była jedną z najpiękniejszych istot, jakie kiedykolwiek oglądałem w życiu. Dałbym wiele, by dokładnie stwierdzić datę, od której rozpoczęła się w niej ta gwałtowna zmiana. Ale wiem tylko w przybliżeniu. Ot, tak sześć miesięcy temu poczęła się nagle żywo interesować losem Johna Keitha. Od tej pory właśnie coś się w niej załamało. Nic nie rozumiem! Niczego nie mogłem się od niej dowiedzieć, a konstatuuję tylko, że umiera powoli, z dnia na dzień. W porównaniu z tym, jaką była niegdyś, to blady, więdący kwiat. Jestem pewien, że to nie choroba, chyba raczej zmartwienie. Mam podejrzenie, lecz po prostu lękam się wyrazić je słowami. Pójdiesz tam dziś wieczór, zostaniesz z nią sam na sam, pomówisz w cztery oczy i może odgadniesz, co ją trapi. Czy chcesz mi dopomóc w poznaniu jej tajemnicy?!

Pochylił się w stronę Keitha. To już nie był dawny, stalowy człowiek, Twarz miał zoraną cierpieniem.

— Nie ma innego mężczyzny pod słońcem, prócz ciebie, Derry, któremu powierzyłbym podobną misję! — mówił dalej wolno. — Musi to być ktoś sprytny, odważny, dyskretny. Sprawa jest niezmiernie delikatna. Jeśli moje podejrzenia okażą się nieuzasadnione, powinieneś w ogóle o wszystkim zapomnieć! Jeśli zaś nie, będziesz musiał również dochować tajemnicy, choć nie przede mną. Czy się zgadzasz?

Keith wyciągnął dłoń. MacDowell uścisnął ją mocno.

— Tu wchodzi w grę Szan Tung — rzekł inspektor, a głos miał dziwnie świszczący. — Szan Tung i Miriam Kirkstone — czy pojmujesz to, Derry? Czy rozumiesz całą potworność tego, całą ohydę? Czy możesz w to uwierzyć? Sądzisz, że oszalałem, dopuszczając do siebie podobne myśli? Szan Tung — Miriam Kirkstone! Coś ich wiąże! Może już jest jego kochanką! Zstąpiła na dno piekieł i to ją zabija!

Keith uczuł, że krew stygnie mu w żyłach. W oczach inspektora czytał grozę niedopowiedzianych słów. Był oburzony. Szorstko wydarł swoją rękę z dłoni MacDowella.

— Niemożliwe! — wykrzyknął. — Oszalałeś chyba! To przecież wykluczone!

— A ja twierdzę, że to nie jest wykluczone! — zaprzeczył MacDowell. — Twarz krzepła mu znów w stalową maskę. Oburącz gniótł poręcz fotela i patrzył na Keitha jakby go nie widząc. Gdy

zaczął znów mówić, rzucał słowa wolno, waząc je wprzód w myśli, nim mu padły z warg.

— Nie jestem łatwowierny. Nigdy nie wierzyłem w rzeczy, których sam nie zdołałem stwierdzić. Muszę zawsze mieć dowód. W stosunku do Szan Tunga czynię wyjątek. Nigdy nie patrzyłem nań jak na człowieka takiego jak ty lub ja sam, lecz jak na ludzką maszynę, obdarzoną niezwykle śmiertcioną potęgą. Czy zaczynasz pojmovać? Wierzę, że użył całej swej władzy dla opętania Miriam Kirkstone, a ona mu się poddała. Wierzę, a jednak nie jestem jeszcze absolutnie pewien!

— Śledzisz ich od pół roku!

— Nie! Zacząłem coś podejrzewać dopiero przed miesiącem. Nikt spośród naszych nie zdołał nigdy przeniknąć tajemnicy prywatnego życia Szan Tunga. Mieszkanie, położone nad jego kawiarnią, jest równie zagadkowe, jak on sam. Przypuszczam, że wchodzi się tam albo przez kawiarnię albo też po schodach umieszczonych w tyle domu. Pewnej nocy, bardzo późno, spotkałem Miriam Kirkstone, zstępującą z tych schodów. W ubiegłym miesiącu dwukrotnie nocą odwiedzała Szan Tunga. To jest, chcę powiedzieć, że widziałem ją sam, dwukrotnie. Ale to jeszcze nie wszystko!

Urwał. Keith widział obrzmienie żył na zaciśniętych rękach MacDowella; z kurczowego napięcia mięśni wnioskował o podnieceniu inspektora.

— Ale to jeszcze nie wszystko! Począłem szpiegować jej dom. W ciągu tegoż miesiąca Szan Tung, we własnej osobie, odwiedził ją trzykrotnie. Za trzecim razem wszedłem również do mieszkania, udając, że mam interes do panny Kirkstone. Rozmawiałem z nią godzinę. W ciągu tego czasu wyteżałem wzrok i słuch, ale nie widziałem i nie słyszałem Chińczyka. Ukrywał się albo też umknął, gdy wszedłem.

Keith widział w tej chwili Miriam Kirkstone taką, jaką ją oglądał w gabinecie MacDowella. Pamiętał dokładnie jej szczupłą, giętką postać, złoto włosów i cudną głębię oczu. Potem przypomniał sobie Szan Tunga, jego kobieco układne maniery, nerwowe ręce, wąskie szpary powiek — i podejrzenie inspektora wydało mu się potworną niemożliwością.

— Dlaczego nie spytasz wprost panny Kirkstone? — rzekł.

— Próbowałem! Przeczy stanowczo, jakoby pomiędzy nią a Chińczykiem istniał jakikolwiek związek. Przyznaje tylko, że odwiedza on czasem jej brata. Dowodzi, że nigdy nie była w mieszkaniu Szan Tunga!

— A ty jej nie wierzysz?

— Oczywiście, że nie! Widziałem przecież! Ona kłamie! Kłamie, bo nie chce, żeby ktokolwiek poznał prawdę!

Keith raptownie przechylił się przez stół.

— Dobrze! Niech będzie i tak! Ale co, na Boga, ma tu do roboty John Keith, żywy lub umarły? Dlaczego twoje podejrzenia co do Chińczyka ugruntowały się niemal w tej samej chwili, gdy panna Kirkstone poczęła się interesować Johnem Keithem?!

MacDowell wzruszył ramionami.

— Być może — zaczął z wolna — szło jej nie tyle o Johna Keitha, co o ciebie, Derry. Dziś wieczór winienes się dowiedzieć prawdy! Sytuacja jest wielce skomplikowana. Może też mieć tragiczne powikłania. Z chwilą gdy znajdziesz dowody na poparcie moich podejrzeń, zabierzemy się do Szan Tunga. Ale oto i Walii, uśmiechnięty jak księżyc w pełni! Widocznie obiad mu się udał!

Mały Japończyk bezszelestnie otworzył drzwi jadalni, w której był stół nakryty na dwie osoby.

Keith uśmiechnął się, zajmując miejsce naprzeciw człowieka, który, gdyby znał prawdę, oddałby go bez wahania w ręce kata. Dramat od komedii dzieli tylko krok. Keith przyznawał, że obecna sytuacja jest śmieszna i tragiczna zarazem.

ROZDZIAŁ VIII

CÓRKA SĘDZIEGO KIRKSTONE'A

MacDowell wyszedł o drugiej. Stojąc w progu Keith śledził wzrokiem wyniosłą postać żelaznego inspektora, powoli ginącą w sinej, deszczowej mgle. Był mocno zdenerwowany. Przed przybyciem MacDowella ustalił już plan dalszych poczynań. Wyzyska urlop dla dłuższej podróży na zachód, z drogi napisze do zwierzchnika, donosząc, że postanowił nie przedłużać kontraktu i zginie wśród gór Kolumbii Brytyjskiej, podczas gdy wszyscy osądzą, że wyemigrował do Japonii lub do Australii. Teraz jednak wątpił, czy uda mu się przeprowadzić pierwotny plan. Prawdę mówiąc, niecierpliwie czekał nadejścia zmierzchu i marzył o spotkaniu z Miriam Kirkstone. Nie obawiał się też Szan Tunga, a w każdym razie czuł przed nim mniejszy lęk niż dawniej. MacDowell dał mu do ręki nową broń. Jakkolwiek nieoficjalnie, jednak kazał mu śledzić Azjatę. Po prostu powierzył mu przyszłość Miriam Kirkstone. Że zaś to wszystko było w jakiś tajemniczy sposób związane z nim, z Johnem Keithem, ciekawość jego zwiększała się tym bardziej.

Niecierpliwie oczekiwał wieczoru. Walii, odziany w ogromny nieprzemakalny płaszcz, ruszył z rozkazu pana po zakupy oraz by przynieść z koszar ubrania Connistona. Na kwadrans przed ósmą Keith wyszedł z domu, kierując się w stronę posiadłości Miriam Kirkstone.

Mimo wczesnej pory wokół panował mrok, a powietrze przesycone było mgłą. Ze szczytu wzgórza Keith nie rozróżniał doliny Saskatchewanu. Zstępował w głąb ciemności, w której tu i ówdzie, jak lampki górników, płonęły mdłe światełka domostw. Minęła, ósma, gdy dotarł do siedziby sędziego Kirkstone'a. Dom stał w głębi ogrodu porośłego drzewami i krzewami ozdobnych roślin; opasywał go masywny żelazny parkan. Na ganku gorzała latarnia, zapewne by wskazać mu drogę. Spoza zasłoniętych firan przebijał błysk światła.

Keith był pewien, że Miriam Kirkstone słyszała skrzyp jego stóp na zwirowanej ścieżce, gdyż zaledwie dotknął staromodnej kołatki, drzwi otwarły się na oścież. Panna Miriam stała w progu. Ujął jej dłoń i sekundę zatrzymał w swojej.

Nie była już tak chłodna jak wtedy, gdy ją ścisnął po raz pierwszy, w biurze MacDowella. Przeciwnie, płonęła jak w gorączce, a zrenice dziewczyny lśniły chorobliwie. Keith uznał, że to jego przyjście tak ją podekscytowało. Lecz wkrótce poznał, że się myli. Miriam walczyła ze wzruszeniem, które musiała odczuwać już przedtem. Keith usłyszał lekki szelest drzwi, zamykanych w końcu korytarza, a nozdrza podrażniła mu słaba woń dziwacznych perfum. Pomiędzy nim a lampą falowała w powietrzu delikatna mgiełka dymu. Wiedział, że pozostawił ją wypalony papieros.

W głosie panny Kirkstone drgała nuta niepokoju, podczas gdy, na pozór spokojnie, prosiła gościa, by powiesił swe palto i czapkę na staroświeckim wieszaku. Keith nie śpieszył się. Zastanawiał się, skąd zna te perfumy. Przypomniął sobie wnet i wzdrygnął się. Taki właśnie zapach zostawił Szan Tung, wychodząc z gabinetu MacDowella.

Spojrzał na pannę Kirkstone. Uśmiechała się pogodnie. W paru słowach przeprosiła go za swe natręctwo.

— Oczywiście, to wcale nie wypadło. Ale wierzyłam, że pan zrozumie moje położenie, panie Conniston! Zresztą, nie zastanawiałam się zbyt. I, prawdę mówiąc, obawiałam się burzy. Ale chciałam pana widzieć. Pragnęłam dowiedzieć się jeszcze dziś, co zaszło w czasie pańskiej wyprawy. Czy to pana dziwi?

Keith dał pierwszą lepszą zdawkową odpowiedź. Panna Kirkstone ruszyła w głąb mieszkania, a

on podążył w ślad za nią. Weszli do gabinetu przez ogromne, niemal kwadratowe drzwi. Te same, które Keith zamknął na klucz cztery lata temu, przed decydującą rozprawą z jej ojcem i bratem.

Szczupła postać Miriam — przez chwilę niezwykle wyraźnie — zarysowała się na tle jasno płonącej lampy. Keith pomyślał, że matka dziewczyny musiała być niezwykle piękną, a wyszła za takiego gada.

Osaczyły go wspomnienia. W gabinecie niemal nic się nie zmieniło. Przed biurkiem stał duży, wysłany skórą fotel, w którym owej nocy siedział opasły sędzia. Na kamiennej płycie, nad kominkiem, leżały bodaj te same drobiazgi. Między oknami wisiał ten sam obraz Madonny.

Gdy Keith spojrział na pannę Kirkstone, zauważył, że obserwuje go bacznie. Oddychała ciężko, jak gdyby zmęczona, a jej włosy złociły się w świetle lampy. Usiadła przy biurku i wskazała mu miejsce naprzeciw. Oczy miała spokojne i bardzo piękne. Keith pomyślał o podejrzeniach MacDowella, o Szan Tungu, i zeszywniał. W powietrzu wisiała wciąż jeszcze woń niesamowitych perfum. Na srebrnym talerzyku, tuż przy jego łokciu, leżały trzy świeże niedopałki papierosów.

— Oczywiście, pan zna ten gabinet? Skinął głową.

— Tak! Nic się tu prawie nie zmieniło! Nazajutrz po mej wizycie tutaj rozpocząłem pościg za Johnem Keithem!

Pochyliła się, mocno zaciskając dłonie splecione na biurku.

— Powie mi pan całą prawdę o Johnie Keith! — rzekła niskim, rwącym się głosem. — Proszę przysiąc, że pan mi powie prawdę?!

— Powtórzę pani wszystko, co mówiłem inspektorowi MacDowellowi! — odparł, całym wysiłkiem woli zmuszając się do patrzenia jej prosto w oczy. — Bodaj nawet coś więcej!

— Czy... czy pan mówił prawdę tam w biurze? Czy John Keith istotnie umarł?

Keith omal się nie załamał pod uporczywym wejrzeniem jej oczu. Zawierały tak potężny nakaz! Kłamstwo, którym bez trudu poczęstował MacDowella, teraz uwięzło mu w gardle. Miriam podeszła go zbyt ostro, zbyt niespodzianie, więc przez chwilę nie umiał znaleźć odpowiedzi. Najwyraźniej nie dowierzała mu. Na sekundę zdziwił się i zmieszał, lecz wnet zapanował nad sobą lepiej niż kiedykolwiek.

— Chce pani, bym raz jeszcze potwierdził, że John Keith umarł i jak umarł? — spytał.

— Tak! Muszę to wiedzieć!

Spostrzegł, że jej szczupłe palce zacisnęły się jeszcze mocniej.

— Waham się, gdyż obiecałem, że powiem pani więcej niż memu zwierzchnikowi! — ciągnął dalej Keith. — A będą to rzeczy przykre! John Keith zabił sędziego Kirkstone'a! Nie może pani mieć dlań współczucia! A jednak ja lubiłem tego człowieka i żał mi, że zginął!

— Proszę dalej...!

Ręce jej zwiotczały. Palce legły na stole jak martwe. W oczach zgasł wyraz napiętego oczekiwania.

— Czy pani знаła Johna Keitha? — spytał Keith. Przecząco poruszyła głową.

— Nie! Spędziłam długi czas na pensji. Nie pamiętam go wcale!

— Ale on panią znał! To jest widywał panią! Mówił mi o pani przed śmiercią. Mówił, że żał mu pani i że przykro mu, że pozbawił panią ojca. Jednak twierdził, że powinien był zabić sędziego Kirkstone'a. Widzi pani, powtarzam jego własne słowa. Mówił, że postąpił sprawiedliwie. Co do tego miał niezachwianą pewność. Pani zapewne nigdy nie słyszała o tej całej sprawie z jego punktu widzenia?

— Nie!

Z trudem wykrztusiła to jedno słowo. Czekwała, co powie dalej i nie spuszczała z jego twarzy

rozgorączkowanych oczu.

Keith przemawiał teraz inaczej, niż gdyby składał relację MacDowellowi. Historia była ta sama, lecz zmieniał słowa i układ zdań. Twarz Miriam Kirkstone zbladła jak śnieg, gdy wtajemniczał ją w szczegóły dramatu, jaki rozegrał się w tym pokoju przed czterema laty. Potem przeszedł do dziejów pogoni. Opisywał wieczyste śniegi i lody oraz brudnych, dzikich Eskimosów. Rozwodził się nad rozpaczliwym mrokiem dni pozbawionych słońca; powierzał szaleńcze myśli mózgu doprowadzonego do obłądu. A gdy doszedł do chwili, w której pod podłogą chaty kopał grób dla umęczonego ciała wygnańca, usłyszał suche, rozdzierające łkanie.

Spojrzał na dziewczynę. W jej oczach nie było śladu łez, ale niewymowna rozpacz. Wargi miała zacisnięte. Po chwili zdołała się opanować. Rzekła:

— Więc tak umarł John Keith?

Keith schylił głowę w milczącym potwierdzeniu. Potem pomyślał o Connistonie i dodał:

— To był uczciwy człowiek w całym tego słowa znaczeniu! Żałuję, że umarł!

— I ja również żałuję! — rzekła Miriam.

Powoli, jakby z wahaniem wyciągnęła ku niemu przez stół otwartą dłoń. Keith oniemiał.

— Jak? Co pani mówi?

— Żałuję, że umarł! — powtórzyła panna raz jeszcze. Ujął wyciągniętą rękę. Przez chwilę jej palce zacisnęły się kurczowo na jego dłoni. Potem zwiotczały, i panna Kirkstone cofnęła się. W tym momencie Keith dostrzegł na jej twarzy nagłą zmianę. Patrzyła w głąb pokoju, ponad jego głowę. Oczy miała szeroko otwarte; źrenice powiększone. Niemal przestała oddychać. Keith, wyćwiczony w długiej ucieczce, odwrócił się błyskawicznie. Pokój za jego plecami był pusty. Znajdowało się tam jedynie zamknięte okno. Deszcz dzwonił o szyby, siekąc je niemiłosiernie. Lecz kotara przy oknie była lekko uchylona i zdawała się drgać.

Podczas gdy Keith wzrokiem przewiercał kotarę, Miriam wstała i szybkim ruchem zasunęła ją całkowicie. Keith nie pytał, co ją tak przed chwilą przeraziło. Natomiast obojętnym tonem zagadnął, czy wolno mu zapalić.

— Widzę, że tu już ktoś palił? — rzekł w formie tłumaczenia, wskazując niedopałki.

Obserwował ją bacznie i już w następnej chwili pożałował tych słów. Schwycił ją w potrzask, a ona zdała sobie z tego sprawę. Brat jej, Piotr, wyjechał przecież. Keith spostrzegł nagłą czerwień zalewającą jej twarz i szyję, i doznał uczucia wstydu. Jednocześnie podejrzenia MacDowella nabrały dlań wagi. W tym pokoju, przed chwilą jeszcze, był Szan Tung. To Szan Tung wymknął się z hallu, gdy on sam wchodził przez frontowe drzwi. Zapewne Chińczyk zajrzał właśnie przez okno i Miriam dostrzegła go przez szparę w firankach.

To, co rzekła, zdziwiło go bardzo.

— Tak, mam to gorszące przyzwyczajenie, panie Conniston! Bawiąc na wschodzie, nauczyłam się palić. Czy to źle?

Keith ledwie zapanował nad sobą. Miał ochotę powiedzieć: jakże pani dzielnie kłamie! Zamiast tego jednak uciął starannie koniec cygara i oznajmił:

— W Anglii wiele kobiet pali! Osobiście nie uważam tego za rzecz zdrożną, szczególnie, jeśli ktoś używa tak wytwornych, wschodnich papierosów!

Urwał, lecz zwyciężyła w nim chęć wyjaśnienia sytuacji. Uśmiechnął się łagodnie i rzekł szczerze, patrząc jej prosto w oczy.

— Zresztą nie wierzę, żeby pani paliła!

Uśmiech nie schodził z jego warg. Robił wrażenie starszego brata, oczekującego zwierzeń siostry.

Miriam patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem. Oczy miała tęskne i zamglone. Keith czuł dla niej głębokie współczucie. Ale nie dodał nic więcej. I tak zaangażował się poważnie.

Teraz przyszła jej kolej. W progu podała mu rękę, życząc dobrej nocy. Wyglądała na przybitą i bezdennie smutną, a Keith pomyślał, że ta piękna dziewczyna powinna co rychlej znaleźć kogoś, kto by miał prawo utulić ją w ramionach i pocieszyć.

— Pan... wróci jeszcze? — szepnęła.

— Owszem, wrócę! — odrzekł Keith. — Dobranoc! Wyszedł i objęła go znów noc rozelkana deszczem. Drzwi zamknęły się wolno i Keith usłyszał, czy też zdało mu się, że słyszy cichy płacz dziewczyny.

ROZDZIAŁ IX

TAJEMNICZY GOŚĆ

Starannie wybierając drogę wśród gęstego mroku, Keith trzymał dłoń na kolbie rewolweru. Pod nogami czuł chrzęst żwiru, jakkolwiek wzrokiem nie mógł rozróżnić ścieżki. Wiedział, że Szan Tung znajduje się w pobliżu. Jego wyostrzone zmysły wyczuwały bezpośrednią bliskość niebezpieczeństwa. Minął furtkę i zaczął zstępować w dół pochyłości wiodącej ku miastu; na szerszej przestrzeni był mniej zagrożony i myśl jego swobodniej ogarniała sytuację.

Tak, niemało zmian zaszło w ciągu ostatnich dwunastu godzin! Wszelkie określone projekty wzięły w łeb, a na ich miejscu pozostał chaos. Niepodobna było opuścić zaraz Prince Albert, gdyż jakkolwiek teoretycznie Keith znajdował się na urlopie, w praktyce MacDowell powierzył mu misję, którą należało tak czy inaczej zakończyć. Wzgląd na pannę Kirkstone trzymał go również na uwięzi. A Szan Tung?! Keith czuł się jak człowiek stąpający po kruchej skorupie lodowej, która lada moment, w niewiadomej chwili i miejscu, może się pod nim załamać.

— Zwariowałem! — szepnął sam do siebie. — Po co się tak przejmować losem tej pięknej panny i niesamowitego Chińczyka!

Aż przystanął na chwilę, tak nagle olśniła go rzeczywistość. Poczł, że chciał już skłamać sam przed sobą. Nie szło mu przecież wcale o Miriam Kirkstone i Szan Tunga, lecz o to, że John Keith, morderca, był w jakiś tajemniczy sposób wplątany w całą tę sprawę. Miał pod tym względem niezachwianą pewność. Starał się jednak rozumować z zimną krwią, że John Keith nic go już nie obchodzi. Jest przecież Derwentem Connistonem! Może złożyć zwierzchnikowi wymijający raport, a potem, zgodnie z pierwotnym zamiarem, zniknąć z oczu jego i Szan Tunga. To jedyny sposób ocalenia!

Rozwazał ten plan na wszystkie strony, podczas gdy kroczył ku miastu, potykając się raz po raz w ciemności. Pomimo wszystko złotowłosa Miriam nęciła go nadal; tajemnica otaczająca dom sędziego Kirkstona miała dlań niesamowity urok; z każdą chwilą pragnął bardziej zmierzyć się z diabelskim Szan Tungiem. Ani on sam, ani Conniston nie przewidzieli, w swoim czasie, podobnych powikłań.

Miasto wyglądało jak wymarłe. Jedyne tu i ówdzie, przez opończę deszczowych strug, błyskały mętne światełka; z rzadka otwarły się czyjeś drzwi; w dole, nad rzeką, wył bezpański pies.

Keith czuł niewysłowioną samotność. Gdyby wszedł do którego z tych domów, nikt by go przecież nie powitał przyjaznym „dobry wieczór, Johnny!” Nie mógł nawet odwiedzić starego druha znad rzeki, Andy Duggana. Mało tego! Powinien właśnie jak najstaranniej unikać swych przyjaciół, by się przypadkiem nie zdradzić. Miasto było dlań pustynią pozbawioną oazy!

Wstąpił do słabo oświetlonego sklepiku, by poprosić o pudełko cygar. Wewnątrz nie było nikogo. Jedyne właściciel drzemał za ladą. Keith zauważył w kącie telefon i pomyślał, by zadzwonić do Chatki i kazać służącemu rozpaścić ogień na kominku. Siedząc przy tym ogniu, rozważył sytuację i obmyślił pan dalszych działań.

Zadzwonił. Odpowiedział mu ktoś inny, nie Walii. Keith chciał już powiesić słuchawkę, pewny, że uzyskał złe połączenie, gdy głos z oddali spytał:

— Czy to ty, Conniston?

— Tak, to ja! — wybełkotał Keith. — Kupuję właśnie cygara! Czy stało się co?

— Nie pytaj o nic, tylko wracaj co prędzej! — rozkazywał MacDowell. — Czeka tu na ciebie wielka nowina!

Usłyszał trzask przerywanego połączenia. Najwidoczniej stało się coś, co wyprowadziło MacDowella z równowagi. Keith wyszedł na ulicę w stanie ogromnego podniecenia. Nie śpieszyło mu się zbytnio. Oczekiwał nowych i niezwykłych wydarzeń. Raptem parsknął śmiechem na myśl, że w chwili gdy być może ważą się jego losy, on tuli pod pachą skrzynkę cygar.

Gdy stanął wreszcie u szczytu wzgórza, spostrzegł, że wszystkie okna Chatki goreją światłem. Jednak firanki były zasłonięte, więc nie mógł nic więcej dojrzeć. Był ciekaw, czy to Walii tak starannie pozasłaniała okna, czy też uczynił to MacDowell, by się zabezpieczyć przed ewentualną ciekawością z zewnątrz. Przerzucił pudełko cygar pod lewą pachę, chcąc, na wszelki wypadek, mieć prawą rękę wolną. Z mroku płynął ku niemu szept Connistona, powtarzający słowa mówione kiedyś na dalekiej północy: „Nie kładź dobrowolnie głowy w pętlę! Jeśli przyjdzie do walki, walcz!”

Lecz wtem zamarło w nim serce. Stał właśnie tuż obok drzwi, Niemal przyłożył do nich ucho. Usłyszał głos. Nie był to głos MacDowella ani Japończyka Walii. Należał do dziewczyny lub do młodej kobiety.

Keith jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wszedł. Szybko dał parę dużych kroków, przeciął przedpokój i stanął u progu bawialni. Pojawił się tak niespodzianie, że przez chwilę nikt nie zdał sobie sprawy z jego przybycia.

W kominku płonęły brzozone polana. Na fotelu spoczywał MacDowell, trzymając w palcach dymiące cygaro. Na taborecie siedziała młoda panienska, oparłszy łokcie na kolanach, a brodę na splecionych dłoniach. Oślepiiony światłem Keith pomyślał w pierwszej chwili, że ma przed sobą dziecko wyjątkowo ładne, z szeroko otwartymi, trochę zdumionymi oczyma i w koronie złotych włosów, wśród których migotały jeszcze krople deszczu. Keith zdjął czapkę i dłonią otarł mokrą twarz. MacDowell nie ruszał się wcale. Panienska wstała powoli. Dopiero teraz Keith stwierdził, że to jednak nie jest dziecko. Miała zapewne lat osiemnaście, była szczupła, wiotka, a na jej ślicznej twarzyczce chęć płaczu i chęć uśmiechu walczyły ze sobą o lepsze. Miarowym krokiem zbliżyła się do Keitha, nie spuszczać z niego promiennych oczu. A MacDowell, w dalszym ciągu, ani drgnął.

Serce Keitha dygotało w piersi, roztrzęsione niezwykłym wzruszeniem. W szeroko otwartych oczach dziewczyny czytał swój wyrok o niewiadomej jeszcze treści. Raptem ona wyciągnęła ręce i poczęła wołać głosem pełnym śmiechu i łez:

— Derry! Czyż mnie nie poznajesz! Czyż mnie nie poznajesz?

Stał jak skamieniały. Była tuż, biała na twarzy jak śnieg. Oczy płonęły jej gorączkowo, a drobna pierś opadała i unosiła się spazmatycznie.

— Derry! Czyż mnie nie poznajesz? Czyż mnie nie poznajesz, naprawdę?

Krzyczała. Płakała. MacDowell wstał. Keith uczył raptem przypływ wzruszenia, którego źródła nie próbował nawet zgłębić. Otworzył ramiona i w jednej chwili dziewczyna padła mu na pierś. Dygotała jak w febrze. Na ustach miała uśmiech, a w oczach łzy. Czuł na twarzy pieczętę jedwabistych loków, dotyk ramion wokół szyi i jej pocałunki na swoich policzkach i wargach. Całowała go rozpaczliwie, gorąco, raz po raz. Mięśnie Keitha stężały jak powrozy. Słyszał, niby przez mgłę, głos MacDowella, który mówił, że odchodzi już, lecz odwiedzi ich jutro rano. Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły ostro. MacDowell wyszedł. A delikatne ramiona wciąż opasywały szyję Keitha. Loki tuliły się do jego warg, a drobne ciało dygotało na jego piersi w nieutulonym płaczu.

Przygarnął ją bliżej. Tracił przytomność. Nerwy grały w nim, jak grają napięte struny pod dotykiem władczej dłoni. Lecz napływ szaleństwa rychło minął. Serce okrzepło. Usłyszał dochodzące z kuchni kroki Japończyka Walii. Oczy, poprzednio zmętniałe, ujrzały znów znajomy pokój, broń na ścianach, ogień w kominku i fotel, na którym spoczywał MacDowell.

Uścisk jego zelżał. Dziewczyna podniosła głowę, ujęła w obie dłonie twarz mężczyzny i

spojrzała nań oczyma, które już poznawał. To były oczy zatartej fotografii z zegarka Connistona.

— Pocałuj mnie, Derry!

Jakże mógł nie usłuchać! Sama podawała mu wargi. Wielbiła go oczyma jak bóstwo.

Stracił głowę. Całował ją długo, gorąco, nieprzytomnie. Lecz rozpląkała się znowu, przytulona jak dziecko do jego szerokiej piersi. Wziął ją więc w ramiona, uniósł lekko jak piórko i posadził na fotelu, przy ogniu. Sam stanął przed nią, próbując się uśmiechnąć.

Włosy jej się rozplotły i lśniąca falą opadły na twarz i plecy. Wyglądała jak małe dziewczętko. Nie spuszczała z niego wielbiących źrenic, choć raz po raz suszyła powieki białą chusteczką, zgniecioną i moką od łez.

— Jakoś nie bardzo się cieszysz z mego przybycia, Derry?

— Ja... ja jestem tylko trochę zaskoczony! — zdołał wybełkotać Keith. — Bo... widzisz...

— No, naturalnie, Derry, że to straszna niespodzianka! Chciałam cię zadziwić! Obmyślałam to od wielu, wielu lat. Proszę, zdejmij płaszcz, bo ociekasz wodą, i siądź tu przy mnie, na taborecie.

Usłuchał. Zdjął płaszcz i siadł.

— Cieszysz się, że mnie widzisz, Derry?

Przebiegła się przez poręcz fotela i dłonią odgarniała mu włosy z czoła. Dotyk jej palców był niby elektryczny prąd. Nigdy, w całym swym dotychczasowym życiu, nie doznał podobnego wrażenia. Bezwiednie pochylił ku niej głowę. Wtedy objęła go oburącz za szyję i przytuliła jego twarz do swojej piersi.

— Cieszysz się, Derry? Powiedz, że tak!

— Tak! — szepnął Keith.

Przez ciekłą tkaninę wyczuwał szybkie, podniecone bicie jej serca.

— I nigdy już do nich nie wrócę! — mówiła głosem, który stał się raptem niski i chropawy. — Nigdy! Zostanę z tobą, Derry! Zostanę, na zawsze!

Przytuliła wargi do jego ucha i zaszepotała tajemniczo:

— Oni nie wiedzą, gdzie jestem! Może myślą, że umarłam! Tylko pułkownik Reppington wie! Powiedziałam mu, że dojdę, choćbym miała brnąć pieszo! Obiecał, że dochowa tajemnicy i dał mi parę polecających listów do różnych, strasznie miłych tutejszych ludzi. Jechałam całe pół roku. A gdy w urzędowym spisie Konnej Policji wyczytałam twoje imię, Derry, padłam na kolana i dziękowałam Bogu... Wiedziałam przecież, że cię gdzieś, kiedyś, znajdę! Od Montrealu nie spałam prawie wcale! I zdaje mi się, że doprawdy nastraszyłam tego dużego pana z groźnymi wąsami, bo gdy wpadłam dziś wieczór do jego gabinetu, cała mokra, i oznajmiłam: „Jestem Maria Józefina Conniston! Chcę widzieć mego-brata!” — wytrzeszczył na mnie oczy tak gwałtownie, że już myślałam, że mu spadną na podłogę! A potem zaklął i powiedział: „Na Boga! Nie wiedziałem, że on ma siostrę!”

Serce Keitha drgnęło. Więc ta śliczna kobietka była siostrą Connistona?!

— I lubię tego pana, bo taki był miły! — mówiła dalej. — Uściskał mnie! Doprawdy — uściskał! Ja sędzę, Derry, że on ani się domyśla, że mam już osiemnaście lat skończonych. Otulił mnie w wielki nieprzemakalny płaszcz i przyszliśmy tutaj. I... och, Derry, dlaczegoś to zrobił? Dlaczegoś mnie nie uprzedził? Derry, czy słyszysz mnie? Czy chcesz przynajmniej, żebym tu została?

Słyszał, oczywiście, tylko duszą był tam, na skraju wielkiego pustkowia, w nędznej chacie, pod podłogą której leżał Derwent Conniston — martwy. Słyszał zawroźnienie wichru takie jak owej nocy, gdy nieszczęsny Anglik konał, i widział znów niewysłowioną tęsknotę jego wejrzenia.

Otulił ją ramieniem mocno, mocno i rzekł nieswoim głosem:

— Tak! Chcę!

ROZDZIAŁ X

POZDROWIENIE SZAN TUNGA

Przez chwilę Keith nie unosił głowy. Ramiona dziewczyny obejmowały go ciasno i czuł na włosach aksamitny dotyk jej policzka. Serce gniótł mu ciężar straszliwego kłamstwa. To „tak, chcę!” było krzykiem duszy. Zaciskał zęby stwierdzając, że dopuszcza się potwornego oszustwa.

Ta niezwykła, słodka osobka przybyła ku niemu z nicości, a jej usta, oczy, włosy pociągały go w wir szaleństwa, którego dna nie widział. Skoczyła mu na szyję wobec MacDowella. On sam przygarnął ją wobec MacDowella. Powodzenie maskarady przeszło wszelkie jego oczekiwania, lecz zwycięstwo nie napełniło mu serca triumfem. Doznawał nieodpartej chęci wyjawienia prawdy. Chciał, tak bardzo chciał powiedzieć tej słodkiej dziewczynie, której ramiona tuliły go jak brata, że nie jest Derwentem Connistonem, lecz Johnem Keithem, mordercą. Jednak powstrzymało go to coś, co jest bodaj najsilniejsze w każdej normalnej istocie — instynkt samozachowawczy.

Z wolna odsunął się od dziewczyny. Uśmiechała się do niego siedząc nadal w wielkim fotelu i mimo woli Keith uśmiechnął się również.

— Musisz teraz iść spać, Mario Józefino! — rzekł. — Jutro pomówimy o wszystkim! Na razie jesteś tak zmęczona, że oczy ci się kleją!

Czoło jej zbiegło się w drobne, dziecinne fałdki. Keith uznał, że jest jej rozkosznie z tą zaaferowaną miną.

— Wiesz co, Derry — zaczęła — żeś się swoją drogą okropnie zmienił! Dawniej nazywałeś mnie zawsze Juddy! Oczywiście, teraz, gdy wyrosłam, Maria Józefina bardziej do mnie pasuje, ale jednak mógłbyś być mniej oficjalny! Derry, mów prawdę! Czy się mnie boisz?

— Bać się — ciebie?!

— No tak, że wyrosłam! I lubisz mnie mniej niż dwa, trzy, cztery — siedem lat temu! Gdybyś mnie po dawnemu kochał, tobyś mi nie kazał iść spać zaraz po przyjeździe! Nie widzieliśmy się tak długo! Derry! Bo się rozpłaczę! Zobaczysz, że się znów rozpłaczę!

— Nie, nie płacz! — błagał Keith. — Proszę cię, nie płacz! Nie wiedział, co ma robić, co mówić. Juddy wyjaśniła sytuację. Zerwała się raptem z fotela, usadziła go w nim przemocą, a sama skoczyła mu na kolana.

— Tak! Teraz dobrze! — spojrzała na maleńki zegarek, który nosiła na szyi. — Za dwie godziny pójdziemy spać! A teraz pomówimy o najważniejszym, o tym, co nie może być odkładane do jutra. Rozumiesz, o czym mówię, Derry! Rozumiesz, prawda? Nie zasnę, nim mi nie odpowiesz! Ale musisz powiedzieć świętą prawdę! Będę cię kochać jak dawniej, choćbym się dowiedziała, nie wiem czego! Derry, Derry, dlaczegoś to zrobił?

— Co takiego? — spytał Keith nie rozumiejąc.

Czuł na kolanach jej rozkoszny ciężar i w całym ciele dziwną błogość. Ale Juddy zeszywniała nagle. Keith uparcie patrzył w ogień, jednak dręczył go pytający wzrok dziewczyny. Zdawała się ledwie oddychać. Wiedział, że jego odpowiedź była niewystarczającą i bezsensowną. Ignorował w niej lub zdawał się ignorować rzecz niesłychanie ważną dla prawdziwego Connistona. Wreszcie zdecydował się spojrzeć na Juddy. Radosne podniecenie znikło z jej twarzyczki. Była lekko nachmurzona. Drobną rączką, która dotychczas pieściła jego włosy, bezwładnie opadła wzdłuż sukni.

— Zdaje mi się, Derry, że wolałbyś mnie nie oglądać! — rzekła, a głos jej załamywał się zdradliwie. — Jeśli nie chcesz mnie tu mieć, no, to sobie jadę z powrotem! Ale zawsze wierzyłam,

że spełnisz obietnicę, daną mi przed laty, że zabierzesz mnie albo pozwolisz mi do siebie przybyć! Chciałabym wiedzieć, co się zmieniło od tej pory? Dlaczego tak długo zostawiałeś mnie samą, wśród ludzi, którzy jednako nienawidzili nas oboje? Czyż zupełnie o mnie nie dbasz? Albo... albo — pochyliła głowę i kończyła głuchym szeptem — albo może się bałeś?

— Bałem się! — powtórzył Keith z wolna, patrząc znów w ogień. — Bałem się? — wybełkotał raz jeszcze. Chciał dodać: czego? Ale zorientował się na czas i umilkł.

W kominku brzozowe polana buchnęły silniejszym płomieniem. Juddy wciąż jeszcze czekała na odpowiedź. Jej wargi zacisnęły się kurczowo. W oczach miała wyraz skupionego bólu. Keith widywał podobną mękę w źrenicach śmiertelnie rannych zwierząt. Uniósł dłoń i przesunął nią miękko po jej lśniących włosach. Jego palce ugrzęzły w delikatnej gęstwinie miedzianych splotów. Spojrzał w oczy dziewczyny i patrzył w nie długo, poważnie, nim przemówił.

— Mała dziewczusko — zaczął — powiedz mi prawdę! Czy wyglądam jak dawny Derwent Conniston, jak twój brat Derry?

Odpowiedziała głosem lekko zdławionym i jakby niepewnym, chociaż ból w jej oczach gasł pod wpływem serdecznej pieczy jęgo dłoni.

— Nie! Zmieniłeś się bardzo!

— Tak, zmieniłem się bardzo! Derwent Conniston umarł częściowo przed siedmiu laty! Teraz, gdy ciebie widzę, maleńka, jest mi tak, jakbym z wolna powracał do życia. Odzyskuję pamięć minionych zdarzeń! Spójrz, maleńka Juddy, to było to!

Przesunął palcem po bliźnie nad okiem.

— Zarobiłem ją przed siedmiu laty! O mało wtedy nie umarłem, a choć żyję, coś we mnie pękło. Straciłem pamięć wielu minionych chwil i dopiero teraz odzyskuję ją powoli. Rozumiesz? Teraz, gdy widzę — ciebie!

Przelał się wyrazu jej oczu. Była w nich niewysłowiona groza. Z trudem kłamał dalej.

— Tygodniami leżałem jak trup, a gdy wreszcie wróciłem do życia — odeszła pamięć. Przeszłość była niby daleki sen. Wiedziałem, że ty istniejesz, ale chwilami zapominałem nawet, jak ci na imię. Jednak towarzyszyły mi stale czyjeś oczy, czyjaś twarz! Czyjś głos szeptał mi do ucha słodkie słowa. Kochałem, tęskniłem, szukałem ciebie, Juddy!

Teraz już nie kłamał, nie zwodził. Mówił prawdę wydartą spod serca. On, John Keith, tęsknił przecież i czekał czyjś przyjscia. Marzył, by ktoś stał mu się bliski, a dobry Bóg w godzinie rozpaczycy zesłał mu anioła pocieszyciela. Postanowił walczyć, by go dla siebie zachować. Ta słodka dziewczyna znaczyła już dlań więcej niż reszta ludzkości. Gdy ramiona Juddy objęły znów jego szyję, a jej usta raz po raz wołały: „Derry, Derry” — głosem pełnym żalu i miłości, zapomniał o całym świecie. Tulił ją do siebie, całował jej oczy, włosy, ręce, powtarzając w kółko, że nigdy nie pozwoli jej odejść. Byli jak dwoje dzieci, które się spotkały po długiej rozłące, i Keith czuł podświadomie, że Conniston musiał uwielbiać swoją małą siostrzyczkę. Zamiana osobowości, ponura maskarada, którą wymyślił umierający Anglik, była w tym wypadku zbawieniem. Jakże strasznie cierpiałaby Juddy, dowiedziawszy się, że jej Derry — umarł!

Wstał wreszcie i odsunął ją trochę od siebie, by łatwiej objąć wzrokiem jej twarzyczkę, mokrą od łez, i oczy lśniące szczęściem. Juddy wyciągnęła ręce i musnęła palcami bliznę ponad jego okiem; jej źrenice pełne były litości i kochania. Keith uczył w tej chwili olbrzymi napływ sił i energii. Gotów był walczyć z całym światem dla zachowania jej złudzeń. Gdyż ona — był tego pewien — wierzyła mu bez zastrzeżeń.

— Jutro pomożesz mi przypomnieć wiele rzeczy! — rzekł. — A teraz powinnaś iść spać!

Nie odrywała oczu od jego blizny.

— A ja nic a nic nie wiedziałam! — szepnęła. — Ani mi przez myśl nie przeszło. Oni, tam, twierdzili, że umarłeś, lecz byłam pewną, że kłamia! Tylko pułkownik Reppington... Czy pamiętasz go, Derry?

— Przypomnę go sobie jutro! Dziś myślę tylko o tobie i widzę tylko ciebie!

Wspięła się na palce, a gdy schylił głowę pod naporem jej ręki, ucałowała ślad pozostawiony przez rozpaloną lufę rewolweru Connistona.

— Tak, teraz pójdziemy spać! — roześmiała się swawolnie. — I nie myśl o niczym! To jest — nie! Myśl, ale tylko o mnie! Jutro będziemy odgrzebywali przeszłość. Tylko powiedz mi dobranoc, po dawnemu!

— To znaczy?

— Przyjdiesz jeszcze pogadać po zgaszeniu światła. Siądziesz na moim łóżku. Otulisz mnie kołdrą. I pocałujesz strasznie mocno, odchodząc. Zawsze tak było, pamiętasz?

— Pamiętam! — skinął głową Keith.

Zaprowadził ją do gościnnego pokoju, ustawił dogodnie dwie podniszczone walizki i zapalił światło. Juddy aż ręce rozłożyła w zachwycie.

— Będę tu mieszkać! O, Derry, więc nareszcie jestem u siebie, w domu!

Nie uznał za stosowne sprostować, że dom jest cudzy, i on sam spędza w nim dopiero pierwszą noc. To były drobiazgi. Pokazał jej natomiast łazienkę i pomysłowy zbiornik wody, a potem przedstawił swego japońskiego kucharza. Wreszcie pocałował Juddy na dobranoc, a ona przyłgnęła doń całym ciałem tak impulsywnie, że Keith zapłonął jak pochodnia. Gdy wrócił do bawialni, zataczał się — niby pijany.

Zgasił światło i siedział dobrą godzinę przy wygasającym kominku. Po raz pierwszy od powrotu z wizyty u Miriam Kirkstone mógł zebrać i uporządkować rozszalałe myśli. Zgłębił bezmiar swego kłamstwa. Nie żałował go jednak. Ocalił nie tylko siebie, lecz i siostrzyczkę Connistona. Uzyskał prawo opieki nad nią; mógł jej bronić w potrzebie. Plan Ucieczki z Prince Albert, poniechany uprzednio, odżył na nowo. Keith postanowił opuścić miasto i zaszyć się w góry, z tą różnicą, że nie sam. Juddy będzie mu towarzyszyła.

Dopiero o północy wstał z fotela i ruszył do swego pokoju. Drzwi były zamknięte. Otworzył je i wszedł. Macając ścianę w poszukiwaniu elektrycznego kontaktu poczuł słabą woń, znajomą, a jednak niespodzianą w tym miejscu. Był to ten sam duszący zapach, który przesycił mieszkanie Miriam Kirkstone.

Keith ścisnął w dłoni rewolwer i zapalił światło. Błyskawicznie rozejrzał się po pokoju, pewien, że w jakimś kącie wykryje obecność Szan Tunga. Jednak pokój był pusty. Natomiast tylko w jednym z okien firanka była spuszczone, drugie natomiast, nie zasłonięte wcale, było otwarte. Keith zatrzasnął je zdecydowanym ruchem. Potem podszedł do stołu. W popielniczce leżał świeży niedopałek papierosa. Szan Tung wszedł do chatki po kryjomu, ale nie wcale nie zamierzał robić tajemnicy ze swoich odwiedzin.

Raptem Keith drgnął. Dojrzał na stole jeszcze coś, czego stanowczo nie widywał przedtem: maleńką kwadratową szkatułkę z tekowego drewna. W czasie odwiedzin w domu Miriam Kirkstone Keith zauważył, że piękna panna bawiła się podobnym pudełkiem. Było ono pokryte delikatną siecią artystycznej, wschodniej inkrustacji, a wygładzone starannie miało barwę i połysk hebanu.

Błyskawicznie przyszło mu na myśl, że to Miriam Kirkstone, za pośrednictwem Szan Tunga, zrobiła mu ten prezent. Wciąż jeszcze pod wpływem absurdałnego przypuszczenia ujął w palce białą kartkę papieru leżącą na wierzchu szkatułki. Po jednej stronie papier był pusty; po drugiej widniały słowa wykaligrafowane wytwornym, delikatnym pismem: „Pozdrowienia od Szan Tunga!” Keith

podniósł wieko szkatułki. Wewnątrz leżała nowa kartka papieru. Keith przeczytał jej treść, zawartą w dziesięciu słowach, i zbladł jak śnieg. Zamknął na chwilę oczy, potem otworzył je i przeczytał raz jeszcze swój wyrok śmierci: „Co się stało z Derwentem Connistonem? Czy pan go zabił?”

ROZDZIAŁ XI

TRWOGA

Keith stał chwilę bez ruchu, trzymając w dłoni złowieszczy skrawek papieru, ogłuszony ciosem, który sparaliżował w nim, zda się, wszystkie nerwy.

Więc poznano go! Te trzy słowa waliły w mózg jak młot. Zdemaskowano go w chwili radości i triumfu, gdy zaznał znów błogiego uczucia szczęścia, a życie stało się warte tego, by je cenić. Gdyby cios spadł o parę godzin wcześniej, przyjąłby go niemal obojętnie. Wówczas spodziewał się klęski. Oczekiwał jej, wchodząc do gabinetu MacDowella. Przegrana i śmierć stanowiły nieodzowną część hazardowej gry, jaką prowadził. Gotów był zginąć, gdy szło wyłącznie o jego życie. Teraz sytuacja się zagmatwała. Juddy, czarem swych oczu gruntownie zmieniła otaczający świat. Przyniosła ze sobą urok miłości i szalę pożądania. Keith czuł dotąd na ustach drżenie jej warg, a wokół szyi splot ramion. Zapewne jeszcze nie usnęła. Tu obok, za ścianą, marzy o nim i wielbi go, a może właśnie modli się o niego w tej chwili.

Nawiedziła go raptem myśl ucieczki, naturalny odruch samozachowawczy. Mógł jeszcze umknąć pod osłoną nocy. Ale już w następnej chwili ogarnęło go uczucie wstydu. A Juddy? Zdławił więc lęk, zaczął natomiast rozważania.

Dlaczego Szan Tung postąpił w ten sposób? Dlaczego nie pobiegł wprost do MacDowella, niosąc oszałamiającą wiadomość, że Derwent Conniston gdzieś przepadł, a jego miejsce zajął John Keith, morderca sędziego Kirkstona?

Keith zmarszczył brwi i powtórnie przeczytał kartkę. Wynikało z niej, że Szan Tung był pewien swego. Wiedział, bez cienia wątpliwości, że człowiek, który powrócił z dalekiej pomocy w mundurze policjanta, nie jest Derwentem Connistonem, lecz Johnem Keithem. Mało tego: Szan Tung przypuszczał, że John Keith zabił Derwenta Connistona, by móc się podszyć pod jego imię. A jednak nie zdradził go przed MacDowellem! Keith ponownie spojrzął na pierwszą kartkę: „Pozdrowienie od Szan Tunga!” To nie wyglądało na zapowiedź wojny. Sprawiało raczej wrażenie przyjaznej przestrogi.

Doznał pewnego uspokojenia. Im dłużej rozważał, tym głębszego nabierał przekonania, że chwilowo nic mu nie grozi, Szan Tung, bez określonego powodu, nie postąpiłby w tak dziwaczny sposób. A powód mógł być tylko jeden. Chińczyk prowadził własną grę i gotów był przemilczeć oszustwo Keitha, byle on mu nie zaglądał w karty.

Keith zbliżył się do okna. Bez wątpienia Szan Tung wszedł właśnie tędy. Futryna i franka ociekały błotem, a na podłodze widniała kałuża brudnej wody. Mokry ślad wiódł od okna do drzwi bawialni. Przypuszczalnie Szan Tung tam podsłuchiwał. Raptem oczy Keitha przywarły do blatu drzwi. Był nieposzlakowanie biały, a na lśniącej powierzchni Szan Tung, mocno przyciskając ołówek, naznaczył godzinę swej wizyty: 10.45.

Keith zaklął głucho. Pamiętał, że wrócił do Chatki przed dziesiątą, więc chytry Azjata, który zapewne kroczył za nim w ciemności, dał mu poznać, że niemal całą godzinę podsłuchiwał rozmowę jego i Juddy. Zapewne podglądał ich również przez dziurkę od klucza. Chwilowo wściekłość zaćmiła mu rozum. Potem ochłonął i jał się zastanawiać. Był pewien, że Szan Tung nie przez brawurę zostawił w pokoju ślady swego pobytu. Miał w tym określony cel. Keith siadł, zapalił fajkę i pogрузzył się w myślach. Doszedł raz jeszcze do przekonania, że Chińczyk nie zamierzał go wydać; nie doradzał mu również ucieczki. Szło mu po prostu o to, by Keith nie wchodził mu w drogę i nie

bronił Miriam Kirkstone przed jego zakusami.

Keith spojrzął na zegarek. Dochodziła pierwsza. Dwadzieścia godzin temu gotował swój ostatni posiłek przy obozowym ognisku. Przed osiemnastu godzinami zaledwie spotkał starego Andy Duggana. Nie mógł wierzyć, że minęło dopiero piętnaście godzin od chwili pierwszej rozmowy z MacDowellem. Łóżko, na które machinalnie spojrzął, rozwiało wszelką wątpliwość. Było to prawdziwe łóżko, a on przecież od szeregu lat sypiał zwykle na gołej ziemi. Walii przygotował pościel. Śnieżnobiałe prześcieradła i poduszki, które wydymały się lekko, jakby lada chwila miały ulecieć w powietrze — zdawały się kusić i zapraszać.

Keith pomyślał, że skoro nie ma zamiaru uciekać, to najlepiej zrobi, gdy wypocznie.

Położył się więc z mocnym postanowieniem wstania o brzasku.

ROZDZIAŁ XII

JUDDY

Konieczność uczyniła z Keitha żywy chronometr. W drugim roku tułaczki zgubił swój zegarek. Początkowo miał wrażenie, że stracił rękę, część mózgu lub bliską istotę. Od tej pory aż do dnia, gdy wszedł w posiadanie zegarka Connistona, sam sobie odmierzał czas i sam siebie budził o oznaczonych porach. Stał się swego rodzaju specjalistą.

Łóżko agenta i miękkie poduszki spowodowały jego zgubę. Gdy zbudził się rankiem po wizycie Szan Tunga, ujrzał snop słonecznych promieni, wpadający przez okno. Pod wpływem ich gorącego dotknięcia zrozumiał, że jest już późno. Ustalił, że przypuszczalnie minęła ósma. Wyjąwszy zegarek spod poduszki stwierdził, że jest kwadrans na dziewiątą. Wstał i zaraz ogarnął myślą zdarzenia ubiegłego dnia. Przeciągnął się szeroko i napełnił pierś ożywczym powiewem, płynącym z otwartego okna. Czuł się niezwykle rześko. Gotów był stanąć oko w oko z Szan Tungiem i MacDowellem. Jedyne w głębi duszy odczuwał pewien niepokój odmiennej natury. Aż się zdziwił stwierdzając, jak bardzo chce ujrzeć małą Juddy.

Począł się zastanawiać nad tym, czy dziewczuszka już wstała, i doszedł do przekonania, że nie. Będzie zapewne spać do południa ta mała, znużona podróżniczka. Uśmiechnął się czule w stronę lustra stojącego na toalecie. Lecz wtem, przez drzwi, usłyszał stłumiony dźwięk dwóch głosów. Wytężył słuch i drgnął. To Juddy rozmawiała z Wallim.

Teraz zaczął się ubierać szybko i jak najciszej. Doznawał przy tym wielu dawno zapomnianych uczuć. Walii przygotował mu starannie szereg toaletowych przyborów oraz, z własnej inicjatywy, wyczyścił i odprasował jeden z garniturów Connistona.

Pomiędzy przyniesionymi z koszar rzeczami Anglika znajdował się również niewielki kufer zamknięty na klucz. Keith spostrzegł go dopiero teraz. Był solidnie wykonany, ściągnięty czterema metalowymi pasami i obity miedzią na kantach. Zamek robił wrażenie skomplikowanego mechanizmu. Poniżej, na metalowej płytce widniało imię i nazwisko właściciela.

Keith obserwował kufer z głębokim zainteresowaniem. Nie wyglądał on na rzecz nabytą przypadkowo. Służył zapewne nie tyle do podróży, ile do przechowywania cennych przedmiotów. Conniston w wilię śmierci wspominał o nim dość obojętnie. „Znajdziesz tam może coś, co ci się przyda!” rzekł. Keith zapamiętał te słowa. Obecnie przyszło mu na myśl, że zawartość kufra może mu pomóc w wyjaśnieniu pewnych tajemnic, stojących między nim a Juddy. Zbadał uważnie zamek i stwierdził, że nawet bez klucza, za pomocą pewnych narzędzi, można go będzie otworzyć.

Skończył się ubierać i uzupełnił toaletę, rozczesując brodę i wąsy. Ze względu na Juddy począł czuć do siwego zarostu wyraźną antypatię, jakkolwiek nadawał mu on marsowy wygląd. Miał wielką ochotę się ogolić, przede wszystkim dlatego, że zarost go postarzał. Przy tym wpadał w lekki rudawy odcień, a najważniejsze, musiał okropnie kłuć i łaskotać, gdy...

Roześmiał się raptem i zsalutował przed lustrem.

— Trudno! — chichotał. — Jesteś tu i zostaniesz!

Zresztą, pomimo zarostu, był raczej przystojnym mężczyzną. Stwierdził to z zadowoleniem.

Otworzył drzwi tak cicho, że Juddy nie zauważyła go na razie. Obrócona doń plecami, pochyliła się nad stołem jadalnym. Jej szczupła figurka była odziana w suknię z miękkiej materii, nieco wygniecioną w podróży. Włosy, jedwabiste i lśniące, wichrzyły się na zgrabnej główce.

Keith jak urzeczony chłonał wzrokiem drobną postać, od czubka głowy po rasowe nóżki obute w

trzewiki na wysokich obcasach. Patrzył póty, aż Juddy odwróciła się i spostrzegła go.

Zauważył, że zaszła w niej jakaś zmiana. Wyglądała stateczniej i poważniej. Nie mógł pojąć, jak ośmielił się wczoraj wieczór trzymać ją w ramionach i pieścić niby dziecko.

Lecz ona rozwiała wszelkie wątpliwości. Skoczyła ku niemu z radosnym okrzykiem i podała świeży policzek do ucałowania. Zawahał się. Potem objął ją mocno i pocałował. Poczł na piersi ciężar jej głowy, a na wargach miękką pieśczołę złotawych włosów. Nieproszony, pocałował ją po raz drugi. Wreszcie, nim się opamiętał, uczynił to po raz trzeci i czwarty.

Jeśli poprzedniego wieczoru Juddy poszła spać, niezupewnie pewna miłości brata, to dziś wyzbyła się już wszelkich zwątpień. Policzki jej płonęły rumieńcem; oczy lśniły. Była pełna szczęścia.

— Och, Derry, teraz ciebie poznaję! — wołała. — Teraz to naprawdę ty!

Porwała go za ręce i pociągnęła w stronę stołu. Walii wystawił głowę przez drzwi kuchenki i uśmiechnął się porozumiewawczo, a Juddy posłała mu w odpowiedzi czarujący uśmiech. Keith zauważył wnet, że Japończyk uwielbia swą nową panią. Patrzył tylko na nią i tylko od niej wyglądał wskazówek.

Juddy siadła przy stole, naprzeciw Keitha. Opowiadała z przejęciem, radośnie błyskając oczyma, jak ją zbudziło słońce i jak pomogła służącemu przygotować posiłek. Keith mógł się jej teraz do woli przyjrzeć; siedziała w pełnym świetle i w dogodnej odległości. Wydała mu się rozkoszną. Gładkie jej czoło zbiegło się w poważne zmarszczki, podczas gdy tłumaczył, że wstał tak późno, gdyż poszedł spać dopiero o pierwszej. Strapiła się wielce. Skarciła go, że nie szanuje zdrowia, a tymczasem Walii wniósł śniadanie. Keith był w siódmym niebie. Nikt go jeszcze nie strofował w tak miły sposób. Juddy po prostu wzięła go w posiadanie, traktowała jak swoją własność — i poczucie tej przynależności napęłniało Keitha niewypowiedzianym szczęściem.

Wszystkie jego plany — zniweczone. Początkowo miał zamiar grać rolę kogoś, kto na skutek nieszczęśliwego wypadku częściowo postradał rozum, ale zapomniał o tym i przy śniadaniu nie wykazał najmniejszych zaburzeń umysłu. Juddy promieniała. Spostrzegła oczywiście zmianę na lepsze i nie poruszała żadnych dawnych wspomnień, bojąc się znów wywołać chmurę nieporozumień. Była tak anielsko dobra w roli troskliwej opiekunki, że Keith walczył ze sobą, by nie paść przed nią na kolana, a skłoniwszy głowę do jej stóp — wyznać prawdę!!

Tymczasem jednak słuchał jej szczebiotu.

— Wiesz, zadzonił dziś rano, ale oznajmiłam mu, że trzeba być cicho, bo ty jeszcze śpisz! Wtedy zaklął. Tak, naprawdę! Me słyszałam, co prawda, słów, ale jestem pewna, że zaklął. A potem ryknął, że muszę ciebie zaraz zbudzić i powiedzieć, że wcale na to nie zasługujesz, by mieć taką przyjemną siostrzyczkę. Prawda, Derry, że on strasznie miły!

— Tak... owszem! Mówisz o MacDowellu?

— Oczywiście, że o nim! A gdy powiedziałam, że twoja rana dokucza ci bardziej niż zwykle, więc dobrze, że sobie dłużej wypoczniesz, aż głos mu się zmienił! Strasznie ciebie kocha, Derry! A potem spytał, o którą ranę chodzi? Powiedziałam, że o tę nad okiem. Ale Derry, to znaczy, że byłeś jeszcze kiedyś ranny!

Głos Keitha również zmienił się nieco.

— Nie ma o czym mówić! — rzekł prędko. — Widzisz, Juddy, mam dla ciebie straszną niespodziankę. Tylko niech ci to nie zepsuje apetytu. Dzisiejszej nocy, po raz pierwszy od trzech lat, spałem w prawdziwym łóżku!

I, nie czekając odpowiedzi, poczał roztaczać przed nią swe niezwykle dzieje. Mówił to samo, co w swoim czasie opowiadał inspektorowi, a potem Miriam Kirkstone — a jednak było to zupełnie co

innego. Zapomniał o jedzeniu i Walii strapił się mocno, gdy zajrzawszy przez drzwi stwierdził, że kawa i grzanki stygną. Juddy pochyliła się do przodu i oparła łokcie na stole. Ani razu nie przerwała opowiadania. Oczy jej były pełne współczucia i grozy. Zdawała się kroczyć w ślad za nim poprzez mrok podbiegunowych nocy. Zdawała się oglądać małą chatkę, w której konał Anglik. A Keith mówił o długich okresach bezmiernej rozpacz i męki oraz o niezwyklej przyjaźni, która połączyła serca dwu ludzi — tego, który ścigał, i tego, który był ścigany.

— I wróciłeś po tym wszystkim! Wróciłeś właśnie w dniu mego przyjazdu! — wyszeptała panienska, gdy skończył swą opowieść.

Keith oprzytomniał. Zrozumiał, że musi dalej grać nienawistną rolę. Przesunął dłonią po czole.

— Żeby tylko równie dobrze pamiętał daleką przeszłość, jak dzieje tych trzech przeklętych lat — westchnął.

— Będiesz! Kochany! — uśmiechnęła się do niego Juddy. — Zobaczysz, że będziesz!

Walii wślizgnął się do jadalni i z uśmiechem pełnym uwielbienia dla panienski oznajmił, że ma w kuchni gorącą kawę i świeże grzanki. To przerwało rozmowę, z której Keith nie wiedział jak wybrnąć.

Pochłaniając z apetytem smażone jaja i grzanki, opowiadał potem siostrze Connistona o swych ucztach na dalekiej północy. Twierdził, że pieczeń z morsa wcale nie jest zła, a polędwica fokki ma wcale miły smak, tylko że prędko obrzydnie. Biały niedźwiedź ma natomiast mięso wielce łykowate. Smaczny jest befsztyk z wieloryba, szczególnie jeśli się go wykroi z części ogonowej. Zimą należy jadać topiony, a potem zamrożony tłuszcz, tylko że nie zawsze można go wytopić. Drewna brak, a rzadko kto posiada spirytusową maszynkę. Eskimoski przysmak stanowią ptasie jaja, gromadzone latem w olbrzymich ilościach, gnijące na słońcu i wreszcie zamrożone na kamień. Kiedyś, w okresie straszliwego głodu, sam żywił się tym paskudztwem, gryząc je i łykając kawałami lub też rozpuszczając w ustach jak landrynki.

Tu Juddy zmarszczyła brewki, ale roześmiała się wnet, gdy Keith dodał, że w okresie pomyślnych łowów Eskimosi kładą się nieraz na ziemi na wznak, a kobiety pchają im do ust jadło, aż brzuchy myśliwców napęczniają jak balony.

Słowem, śniadanie się udało. Juddy wstała od stołu rozbawiona, lecz zdziwiła się słysząc, że Keith każe Japończykowi przynieść młotek i dłuto.

— Zgubiłem klucz od kuferka! — wyjaśnił. — Muszę teraz rozbić zamek!

Juddy roześmiała się, wsunęła mu dłoń pod ramię i razem przeszli do bawialni. Keith, lekko pochylając głowę, muskał wargami lśniąca gęstwę jej włosów. A ona robiła plany, wyliczając je kolejno na palcach.

Więc wyjedzie z nim razem, jeśli ma jakie interesy do załatwienia. Jeśli nie ma żadnych, to też wyjadą razem, dla przyjemności. Nie chce się z nim rozstawać, to pewne. A przed chwilą dostała z dworca swój kufer, więc może się przebrać, lecz zaraz będzie gotowa. Ma błękitną sukienkę, w której jest jej ogromnie do twarzy. A czy dobrze się uczesała? Tak się śpieszyła dziś rano!

— Wyglądasz naprawdę ślicznie! — rzekł Keith. Poczzerwieniała pod jego gorącym wejrzeniem. Roześmiała się nagle, a jednocześnie oparła palec o czubek jego nosa.

— Ach, Derry, jakie ty robisz oczy! — chichotała radośnie. — Gdybyś nie był moim bratem, tobym sądziła, żeś się we mnie zakochał!

Uczuł nagły, tępy ból.

— Śliczna jesteś! — powtórzył trochę smutnie. — I wszystko w tobie jest cudne!

Wspięła się na palce i podała mu do ucałowania różany policzek. Potem, w podskokach, pobięła do swego pokoju. Na progu przystanąła na moment.

— Spiesz się, Derry, bo cię zbiję! — krzyknęła i znikła.

ROZDZIAŁ XIII

KUFER CONNISTONA

Kiedy Keith znalazł się w swym pokoju i zamknął za sobą drzwi, uczył ponownie w sercu tępy, dokuczliwy ból. Powietrze wkoło stało się tak ciężkie, że brakło mu oddechu.

— Gdybyś nie był moim bratem...

Te słowa kołatały mu w mózgu, szarpały serce, drwiły zeń; chichotały triumfalnie, właśnie tak samo, jak niedawno naigrawał się z samotnego wędrowca mroźny, północny wiatr.

Jej brat!

Zacisnął pięści, aż paznokcie wżarły mu się w ciało. Nie, tego nikt nie mógł przewidzieć; walka, którą teraz toczył, nie należała do programu zapasów. Była piekielnie trudna i, co gorsza, bez wyjścia. Tak czy inaczej rezultat okazywał się fatalny. Przegrana wiodła go na szubienicę. Wygrana skazywała na wieczystą mękę. Całe życie miał pozostać jej bratem! A ona jego siostrą! Niczym więcej! Jednak on zdawał już sobie sprawę, że darzy ją zgoła innym uczuciem. Wyłącznie jako kochanek podziwia piękno jej oczu, rysów, postaci... Złośliwy los kpił z niego. Keith z własnej woli stał się Connistonem, a Juddy była tegoż Connistona egoż Cxc siostrą!

Ogarnęła go naraz bezsensowna wściekłość. Gotów był kląć, złorzeczyć, bluźnić. Wierzył w Boga jako w bezstronnego i dobrotliwego sędziego, a tu działa się rzecz niesłuszna i potworna. Miał walczyć bez nadziei wygranej. Cokolwiek czynił, rezultat mógł być tylko zły!

Spoza drzwi dobiegł go naraz stłumiony śpiew Juddy. Opanował się błyskawicznie. Rozpacz wygasła w nim równie szybko, jak się pojawiła. Mięśnie zwiotczały, twarz straciła ponury wyraz, a ponieważ ten Bóg, któremu przed chwilą gotów był złorzeczyć, obdarzył go pogodnym usposobieniem — dostrzegł teraz zabawne strony swej sytuacji. Zdało mu się raptem, że widzi drwiąco uśmiechniętą twarz Connistona i słyszy jego głos, słaby, lecz wyraźny.

— To doprawdy śmieszne, stary druhu! Tak, to nawet bardzo śmieszne!

Istotnie, to było zabawne! Życie drwiło zeń niemiłosiernie. Ale właściwy komizm zacznie się dopiero wtedy, gdy przyjdzie inny mężczyzna, nie brat tym razem, i zapuka do serduszka Juddy.

A on, John Keith, czyli inaczej mówiąc Derwent Conniston, będzie musiał serdecznie przyjmować przyszłego szwagra!

Raptem drgnął. Juddy kołatała piąstkami o drzwi.

— Derwencie Conniston! — wołała. — Jakaś niewiasta pragnie pomówić z tobą przez telefon! Co mam jej odpowiedzieć?

— A... co takiego? — bełkotał Keith, zaskoczony. — Powiedz, Juddy, że jesteś moją siostrą, a jeśli to panna Kirkstone, bądź uprzejma i wytłumacz, że chwilowo jestem zajęty, lecz że miło mi będzie pomówić z nią kiedy indziej. Proś, żeby zechciała nas odwiedzić któregoś dnia...

— Właśnie! Jeszcze tego brakowało!

— Ależ słuchaj! — zaczął wyjaśniać Keith, przykładając wargi do samych drzwi. — Ta panna Kirkstone...

Lecz Juddy już uciekła.

Keith parsknął śmiechem. Dobry humor powrócił mu całkowicie. Na razie wystarczało mu zupełnie, że ona jest w pobliżu, że go po swojemu kocha i że złożyła swoją przyszłość w jego dłonie. A gdy razem umkną w góry, kto wie, co się może stać? Kto wie, kiedyś...

Ujął dłuto i młotek, i zbliżył się do kufra. Pokaleczył sobie palce, nim zdołał wyłamać trzy

potężne zamki. Przeniósł kufer bliżej ku światłu i otworzył go. Doznał rozczarowania. Na pierwszy rzut oka nie mógł w ogóle pojąć, po co Conniston zamykał to pudło. Było na poły puste, a spod niewielu rzeczy, stanowiących zawartość, przeświecało dno. Na wierzchu leżała stara skarpetka o mocno podniszczonej pięcie. Dalej znalazł futrzaną czapkę, nieco odmiennego typu niż te, jakie zazwyczaj noszono w Kanadzie. Jeszcze głębiej leżał łańcuch z przytwierdzoną doń obrozą, mały, kieszonkowy rewolwer oraz olbrzymi colt, wszystko zasypane paroma garściami naboju rozlicznego kalibru. W rogu, starannie owinięte w papier, spoczywały spodnie do konnej jazdy, a pod nimi białe tenisowe pantofle. Słowem, kufer zawierał przypadkowe zbiorowisko mniej lub więcej niepotrzebnych rupieci. Nawet olbrzymi colt miał ułamany zamek, a mały rewolwerek, jak Keith zgryźliwie osądził, mógł chyba służyć do polowania na muchy.

Bezmyślnie począł grzebać na dnie kufra i raptem krzyknął. Pod starą nocną koszulą namacał spore pudełko, a gdy je otworzył, stwierdził, że jest ono pełne papierów.

To dopiero było odkrycie. Drżały mu ręce, gdy prznosił pudełko i stawiał je na biurku. Wziął pierwszy papier z wierzchu. Było to pozwolenie na broń, wydane w Manitoba. Dalej spoczywało parę map, przeważnie określających okolice rzeki Peace, oraz kupa listów od pośredników i agencji, zachwalających tereny położone nad tą rzeką. Na samym dnie Keith znalazł paczkę listów oraz starannie złożone wycinki gazet.

Wziął pierwszy wycinek z brzegu, spojrzął nań i oniemiał.

Potem kolejno przejrzał pięć innych. Wszystkie pochodziły z angielskich pism i zawierały niemal jedno i to samo.

Podawały w suchej, urzędowej formie lub też w barwnym stylu reporterskim, że Derwent Conniston z Darlington jest poszukiwany przez policję za kradzież z włamaniem i że dotąd nie zdołano go ująć.

Keith przesunął ręką po powiekach. Był pewien, że podlega halucynacji. Lecz gdy spojrział znów na skrawki gazet, wyczytał z nich to samo oskarżenie.

Chwilę siedział jak skamieniały. Potem roześmiał się i machnął ręką. Pomimo wszystko nie wierzył. Uważał za rzecz możliwą, że Conniston — w przystępie gniewu — mógł zabić człowieka, lecz włamanie do kasy pancерnej, kradzież po nocy, nie leżały absolutnie w charakterze Anglika. Zaszła widać jakaś pomyłka; z lekceważącym ruchem ramion Keith rzucił gazety na dno pudła, a zabrał się do listów.

Na angielskich znaczkach widniała pieczęć urzędu pocztowego w Darlington. Drżącymi palcami otworzył pierwszy list. Nadzieja jego się sprawdziła. List pochodził od Juddy. Wtedy ułożył wszystkie koperty, w liczbie dziewięciu, podług dat wysłania. Listy były prawie sprzed ośmiu lat, a pierwszy i ostatni dzielił okres jedenastomiesięczny. Wreszcie zaczął je odczytywać po kolei. Zapomniał, że czas leci i że Juddy czeka.

Wycinki gazet wyjawily mu jedną stronę dramatu; urywki zdań, pojedyncze słowa, krótkie wzmianki rysowały zakulisową intrygę. Bardzo powoli przed oczyma Keitha rozwijał się bohaterski epos, a w miarę jak czytał, jego twarz to czerwieniała, to bladła i oczy gorzały ogniem triumfu.

Wreszcie wziął do ręki list dziewiąty i ostatni. Był skreślony odmiennym pismem. Przebiegając go oczyma, Keith zerwał się z krzesła i półgłosem wymówił ulubione zdanie Connistona.

— Tak, to ogromnie śmieszne, stary druhu!

Jego głos był jednak pozbawiony humoru. Oczy miał ponure i złe. W myśli widział znów nędzną chatę na skraju pustkowia i agonię przyjaciela.

Pełną garścią chwycił z dna pudełka wycinki gazet, zmiął je nerwowo i, potarłszy zapałkę, zapalił. Jakże kłamliwe jest życie! Jak ślepa — sprawiedliwość! Jak potworną rzeczą jest prawo!

Uśmiechnął się drwiąco i powtórzył raz jeszcze.
— Tak, to ogromnie śmieszne, stary druhu!

ROZDZIAŁ XIV

WSPOMNIENIA

W kwadrans później zstępował wraz z Juddy w dół zielonego zbocza, w stronę Saskatchewanu. W dali widniała tam wstęga boru i rozciągała się szmaragdowa preria.

Miasto, zgodnie z planem Keitha, zostało poza nimi. Wolał nie spotykać Miriam Kirkstone, Szan Tunga ani MacDowella, zanim rozwichrzona myśli nie uporządkują się. A ponad wszystko chciał być sam na sam z Juddy; upewnić się, że w razie walki będzie po jego stronie. Przeczuwał nadchodzący dramat. Wiedział, że prędzej czy później musi stanąć oko w oko z Chińczykiem i wytrzymać badawczy wzrok inspektora. Tragedia mogła się rozegrać lada dzień. Na razie jednak był tylko prolog, w którym Juddy grała główną rolę.

Stanęli w połowie zbocza i Keith znalazł się poza plecami panienci. Mógł na nią patrzeć bez zwrócenia na siebie uwagi. Miała odkrytą głowę i podziwiał bez przeszkód bogactwo jej włosów. W ciężkich splotach słońce szukało złotych lśniń. Keith miał ochotę zanurzyć palce w tej boskiej przędzy. Opanował się w czas i — pochylony — spojrzął w dół. Niedawny deszcz orzeźwił dolinę Saskatchewanu, a słońce oblało ją teraz migotliwym blaskiem. W oczach Keitha rzeka nie była nigdy piękniejsza niż dziś. Wtem usłyszał pełen ekstazy głos Juddy.

— Och, Derry!

Serce zakolało w nim radośnie. Więc ona również odczuła urok tego krajobrazu! Palce dziewczyny namacały dłoń mężczyzny i pieszczotliwie wtuliły się w jej głąb. Wiedział, że ogarnia ją czar tej pięknej ziemi, urok nieprzejrzanego prerii i milczących borów, których ciemne smugi sięgały krańca horyzontu. Był pewien, że całym sercem wielbi złoty Saskatchewan, toczący ciche wody z tajemniczycy górskich pustkowi.

Tuląc w dłoni jej paluszki, zaczął mówić. Opowiadał, że to dopiero początek wspaniałej północno-zachodniej krainy. Poza zasięgiem wzroku są prerie: nie te monotonne łągi, widziane z okien wagonu, lecz kraina przybrana lustrami jezior, wstęgami rzek oraz wzorzystym haftem zagajników i borów. To Boży kraj! Jego granic strzeże łańcuch gór, a wśród tych gór Saskatchewan bierze swój początek.

Podniosła na niego lśniące oczy pełne złotych, słonecznych drgnień.

— Jakie to cudne! No, a tam, za nami?

— Tam jest miasto! Juddy westchnęła głęboko.

— Że też ludzie, wciąż jeszcze mają ochotę siedzieć w miastach! — zawołała. — Zawsze marzyłam o takim Bożym kraju! Jakiś ty szczęśliwy, Derry, że mieszkasz tu tak długo! Podczas, gdy ja...

W głosie Juddy brzmiał wyrzut połączony z zazdrosnym zachwytem. Serce Keitha drgnęło. Ujrzał wnet przed sobą jasno wytknięty szlak. Patrząc w oczy dziewczyny, począł się jej zwierzać ze swych planów. Mówił, że przed samym jej przybyciem postanowił właśnie pójść w góry na zawsze. Gdyby się spóźniła choć trochę, być może nie zastałaby go już w Prince Albert. Lecz teraz pójdą razem. Wymkną się chyłkiem i znikną. Niech nikt o niczym nie wie. Nawet MacDowell! Z czasem powie jej, dlaczego lepiej robić wszystko cichaczem.

Juddy aż poczerwieniała ze szczęścia, gdy Keith, niczym chłopak projektujący majówkę, powierzał jej swe plany. Ruszą choćby dziś wieczór czy jutro! We dwoje, tylko we dwoje!

— Będziemy jak dwaj koledzy, Juddy! — zakończył Keith. — Bo ty i ja jesteśmy jednako samotni

na świecie!

Ujęli się za ręce, jak dzieci, i zaczęli razem schodzić w dół. Od czasu do czasu zamieniali krótkie zdania, odtwarzając zamierzchłą przeszłość. Keith wiedział z niej tyle, ile wyczytał w tych dziewięciu listach odnalezionych dziś rano; resztę sprytnie wyłudzał od Juddy. A ona, pozbawiona jakichkolwiek podejrzeń, pewna, że rana na czole częściowo zaćmiła jego pamięć, chętnie podpowiadała to, czego Keith sam nie mógł wymiarkować. Wreszcie Keith poznał całe dramatyczne życie Derwenta Connistona.

Derwent Conniston pochodził z Darlington i przebywał tam w swoim czasie wraz z siostrą Juddy i młodszym bratem, Egbertem, w domu bogatych krewnych. Egbert był kaleką i zapewne niespełna rozumu. Juddy w swych listach nazywała go biedakiem, jakkolwiek on właśnie był powodem ponurego dramatu w ich życiu. Oto pewnej nocy włamał się do pancерnej kasy wuja, a spłoszony — umknął. Wuj zaś, nienawidzący Derwenta, jego posądził o kradzież. Derwent Conniston, oszczędzając kalekę, zamiast oczyścić się z podejrzeń, zbiegł do Ameryki, ścigany groźbą wuja, że w razie powrotu czeka go więzienie. W krótkim czasie potem „biedny” Egbert zmarł.

— Ale czemu nie napisałeś do mnie, Derry? — spytała nagle Juddy, zatrzymując się i zaglądając w twarz Keitha. — Ja tak czekałam!

Keith powtórzył jej treść listu otrzymanego od wuja, z Darlington. Był to ów dziewiąty z rzędu list, znaleziony na dnie kufra Connistona.

— Pisał mi, że umarłaś! Pisał, że nawet gdybym nie był winien tej kradzieży, nie mam po co wracać!

Pobladła i przez chwilę jej oczy stały się zupełnie błędne.

— Teraz rozumiem — rzekła wolno. — Prawda, chorowałam ciężko niemal cały rok, ale przecież żyję! Musieli konfiskować twoje listy do mnie, a gdy wyzdrowiałam, powiedzieli mi, żeś umarł! To... to było straszne. A potem, może rok temu, przyszedł stary pułkownik Reppington i powiedział — och, takim drżącym głosem — iż zdaje mu się, że ty żyjesz! Jego przyjaciel wrócił właśnie z Kanady i mówił, że polując raz na niedźwiedzie spotkał Anglika Derwenta Connistona. Pisaliśmy potem moc listów i dowiedzieliśmy się, gdzie mniej więcej jesteś i co robisz, a wtedy — pojechałam!

Usta jej drgały i Keith był pewien, że lada moment się rozszoła. Lecz stłumiła łzy.

— I... i znalazłam ciebie, Derry! — kończyła triumfalnie. Przytuliła się do Keitha, on objął ją w pól i tak szli dalej:

opowiadała o swej podróży, o tym, jak przybyła do Halifax, a stamtąd pojechała do Montrealu. Gdy doszła do chwili, w której pociąg stanął na stacji w Prince Albert, urwała raptem. Keith przytulił ją i wskazał palcem na zachód.

— Oto nasz nowy świat, Juddy! Zapomnijmy dawne, smutne dzieje!

Uśmiechnęła się do niego ze słodkim oddaniem w oczach.

— Dobrze, Derry! — szepnęła miękko.

ROZDZIAŁ XV

OPUSZCZONY DOM

Szli po wilgotnym kobiercu traw, której mocny zapach przesycił powietrze poranka. Mijali kępy świerków i cedrów, aż stanęli nad samą rzeką, mając u stóp jej srebrny nurt i żółte łachy.

Miasto zostało w dali. Patrzyli w górę Saskatchewanu i w miejscu, gdzie dwa mury drzew iglastych zdawały się ze sobą łączyć, widzieli szeroko otwartą bramę wiodącą ku wolnym krainom dalekiego zachodu. Keith ręką wskazał kierunek.

— Patrz, Juddy! — rzekł. — Ta rzeka niesie w sobie złoty pył. Czerpie go ze skarbcza ukrytego gdzieś w górach. Dawno już chciałem ten skarbiec odszukać. Teraz odnajdziemy go wspólnie!

Ruszyli dalej. Keith przemyślnie wybierał drogę. Miał określony cel. I znaleźli się wreszcie na skraju małej polany, na której stał jego rodzinny dom. Serce biło w nim tak nierównym rytmem, że aż czuł chwilami ostry, dojmujący ból. Oddychał z trudem. Polana zarosła krzewami i chwastem. Po czterech latach miejsce, ongiś starannie trzebione, robiło wrażenie miniaturowej dżungli. Juddy spostrzegła dom dopiero w odległości kilku jardów i stanęła z lekkim okrzykiem zdziwienia. Dom wyglądał nie tylko na opuszczoną siedzibę; wyglądał wręcz dramatycznie. Był to spory dwór zbudowany z mocnych bali, a nad dachem strzelał w górę czerwony, ceglany komin. Okna były na głucho zaparte drewnianymi okiennicami. Na szerokiej werandzie, zwróconej w stronę rzeki, stały trzy fotele. Czas, wichur i deszcz uczyniły z nich istne ruiny. Nikt z żyjących nie mógł już w nich spocząć — chyba jaki duch.

Juddy rzuciła krótkie spojrzenie na twarz Keitha. Oczy miała szeroko otwarte. Usta zaciśnięte. Mocniej wtuliła palce w dłoń mężczyzny.

— Co to jest? — spytała.

— To dom Johna Keitha taki, jakim go zostawił przed czterema laty!

Głos jego ochryplł dziwnie i Juddy oderwała oczy od domu, by przenieść je znów na twarz mężczyzny. Spostrzegła, że targa nim ból. Szczęki drgały mu spazmatycznie.

— Dom Johna Keitha?

— Tak!

Schyliła głowę i przytuliła się do jego ramienia.

— Musiałeś go bardzo lubić, Derry?

— Tak!

Wyszarpnął rękę z jej palców i kurczowo zacisnął dłonie na piersi. Widziała, jak pod ubraniem sztywnieją jego mięśnie. Twarz miał bardzo bladą. Przesunął ręką po czole, po czym wyjął z kieszeni klucz.

— Obiecałem mu, gdy konał, że wstąpię tu i w jego imieniu pożegnaję ten dom — rzekł głucho. — On... on bardzo go kochał! Czy chcesz wejść ze mną?

Odetchnęła głęboko.

— Tak!

Otworzył drzwi wiodące z werandy w głąb domu. Weszli i owionęło ich zimne, stęchłe powietrze. Keith jednym rzutem oka objął wnętrze dużej izby. Nic się tu nie zmieniło od owego wieczoru, gdy wychodził stąd, by wymierzyć sobie sprawiedliwość. Na stole, pokrytym warstwą kurzu, znajdowała się miska i łyżka. Pamiętał dobrze, że przed samą ucieczką wpadł na chwilę do domu, by zabrać najpotrzebniejsze rzeczy — i posilił się naprędce odrobiną mleka i chleba. Po

czterech latach łyżka i miska były na dawnym miejscu, jakby porzucone wczoraj. Te proste przedmioty podziałały nań tak silnie, że musiał użyć całego zasobu energii, by się czymś nie zdradzić.

— John Keith opowiadał mi przed śmiercią, co znajdę w tej izbie. Mówił mi nawet o tym! — Tu kiwnął głową w stronę stołu. — Widzisz, Juddy, on tak lubił swój rodzinny dom! Pamiętał o każdym szczególe...

Odetchnął. Zrobiło mu się jakoś lżej. Począł oprowadzać Juddy po pokojach i roztaczać przed nią dzieje starej siedziby w miarę, jak różne szczegóły i drobiazgi przychodziły mu na myśl. A z tego splotu wspomnień John Keith wyrósł wreszcie, jak żywy, przed oczyma panienki.

Wtem Juddy stanęła.

— Och, Derry... — wyszeptała, błagalnie patrząc mu w oczy — to przecież nie ty go zabiłeś! Prawda, że nie ty?

— Nie! — odparł Keith prędko. — Jego zabiło prawo! Umarł, jak ci już o tym mówiłem, na odmrożenie płuc! Daję ci słowo, że gdybym tylko mógł, wróciłbym mu zdrowie, nawet kosztem własnego istnienia. Tylko pamiętaj, MacDowell nie powinien o tym wiedzieć! Przy nim nie wspominaj nigdy o Johnie Keith!

— Ja... ja rozumiem, Derry!

— Nie powinien również wiedzieć, żeśmy tu byli! Dla niego John Keith jest zwykłym mordercą i zasłużył na szubienicę!

Spoglądała na niego jakoś dziwnie. Nigdy jej oczy nie miały tak osobliwego wyrazu.

— Derry! — szepnęła.

— Słuchani!

— Derry, czy John Keith żyje?

Na jego twarzy odbiło się okropne zmieszanie. Opanował się wreszcie, lecz zbyt późno. Uczuł na ustach jej miękką dłoń; zaszepotała prędko, rozkazującym tonem:

— Nie, nie, Derry! Nie odpowiadaj mi! Milcz! Już wiem, już rozumiem wszystko, i tak się cieszę. Tak się okropnie cieszę! On żyje i to ty dałeś mu życie i wolności O, jakże cię kocham, braciszku! A wszyscy wierzą, że on umarł! Och, nie mów nic, Derry! Milcz!

Była roześmiana, szczęśliwa, bliska łez. Keith utulił ją bez słowa i trzymał w ramionach dłużej niż kiedykolwiek. Ucałował raz jeden jej usta, a potem pieszczotą warg muskał jasne loki.

— Rozumiem, wszystko rozumiem i tak się cieszę! — szeptała Juddy.

— A jednak... ja ci odpowiem! — rzekł Keith. — Tobie jednej wyjawię wielką tajemnicę. On... żyje!

ROZDZIAŁ XVI

TRUDNA GRA

W godzinę później Keith, sam jeden, szedł w kierunku biura MacDowella. Był w bojowym nastroju. W duszy czuł wielką radość i zwycięstwo. Od wczoraj zaszło wiele rzeczy i horyzont wokół niego pojaśniał. Cieszył się, myśląc o Juddy. Gotowa była jechać z nim na kraniec świata; iść wszędzie, byle tylko razem. Gdy dowiedziała się, że termin jego służby kończy się i że jeśli zaciągnie się znowu, raz po raz będą się zdarzały długie rozłąki, błagała na wszystko, by nie odnawiał kontraktu. Nie pytała o nic, gdy wspomniał, że trzeba będzie umknąć z Prince Albert niespodzianie i, być może, w najgłębszej tajemnicy. Uroiła sobie, że wchodzi tu w grę John Keith. Była pewna, że jeśli MacDowell odgadnie, iż „Derry” darował życie mordercy, prawo obróci się przeciw jej bratu i rozłączy ich na wiele lat. Bała się trochę, lecz przede wszystkim radowała ją perspektywa wspólnej wyprawy do Bożego kraju i świadomość, że John Keith — żyje!

Gdy Keith wszedł do hallu, poprzedzającego biuro MacDowella, zastał tam młodego sekretarza inspektora, Cruze przechadzał się po izbie, okazując wielkie wzburzenie. Nerwowo palił papierosa. Na widok Keitha rozpogodził się nieco.

— Chwała Bogu, żeś pan się zjawił! — zaczął bez powitania. — Stary zapowiedział, że nie chce widzieć nikogo prócz pana! Proszę wejść...

— Co się stało? — spytał Keith ostrożnie.

Cruze wzruszył ramionami, strząsnął popiół z papierosa na podłogę i z wyrazistym grymasem krótko oświadczył: — Szan Tung!

— Szan Tung?

Głos Keitha drgnął mimo woli. Zmienił się na twarzy i przez chwilę miał obawy, że się zdradza. Więc Szan Tung był tu z samego rana? A teraz MacDowell czeka na niego i najwidoczniej niecierpliwie się. Jeśli jednak Azjata go wydał, dlaczego inspektor nie kazał go aresztować na miejscu? Zadał sobie to pytanie i wnet znalazł na nie odpowiedź. MacDowell nienawidzi Szan Tunga, więc mu nie uwierzył. Jednak musiał zachować pewne podejrzenia i zaczął teraz badać — dochodzić prawdy. Po plecach Keitha przebiegł chłodny dreszcz.

Cruze przyglądał mu się badawczo.

— Coś się kluje! — zaczął. — Stary aż się trzęsie ze złości. I czeka pana jak manny niebieskiej. Dzwoniłem do Chatki kilka razy w ciągu ostatniej półgodziny.

Rzucił papierosa w kąt i zbliżył się do drzwi wiodących do biura zwierzchnika. Keith walczył ze sobą, by go nie zatrzymać słowem lub gestem. Przebiegła mu nawet przez głowę myśl użycia przemocy. Lecz nie ruszył się z miejsca. Drzwi się rozwarły i zaledwie Cruze wymówił parę słów, już MacDowell, we własnej osobie, stanął na progu.

— Wejdz, Conniston! — rzucił głucho. — No, chodź!

Głos miał zupełnie inny niż zwykle, pełen tłumionej wściekłości i groźby. Znać było, że względny spokój mowy sili się zatuszować dziką pasję. Keith poczuł, że jego los jest przypieczętowany. Wchodząc do pokoju obmyślał błyskawicznie, jakich kart ma użyć w tej ostatniej, beznadziejnej grze. Ustalił plan, zanim drzwi się za nim zatrzasnęły. Obezwładni i zwiąże MacDowella tak cicho i szybko, że Cruze niczego się nie domyśli; potem wyskoczy przez okno, pogna do domu i wraz z Juddy umknie w lasy, nim zdołają za nim posłać pogoń. MacDowell zamknął drzwi i raptem chwycił Keitha za ręce tak gwałtownie, że ten nie zdołał się cofnąć.

— Nie mam do ciebie najmniejszej pretensji, Derry! — zaczął miękko, a w oczach lśnił mu uśmiech. — I wybacz, że dzwoniłem do ciebie tak wcześnie! Twoja siostra stanowczo odmówiła cię budzić, a uczyniła to takim groźnym tonem, że potem wolałem już sam do Chatki nie telefonować. Za to Cruze dzwonił ze sześć razy! Powiem ci coś takiego, że zgłupiejesz!

Padł na fotel i pokręcił węża, podczas gdy Keith nie spuszczał z niego oczu. MacDowell robił na nim w tej chwili wrażenie wielkiego kota czyhającego na upatrzoną zdobycz i Keith rozważał, czy tą zdobyczą ma być on sam, czy też kto inny.

— Co stało się ubiegłego wieczoru? — spytał inspektor. Keith miał się na baczności. W jednej chwili postanowił, że wysunie Szan Tunga na pierwszy plan, by sam tym pewniej ukryć się poza nim.

— Nic szczególnego! — odpowiedział spokojnie. — Jestem jednak pewien, że dziś jeszcze spotkam tego Chińczyka!

Spostrzegł, że palce MacDowella zacisnęły się kurczowo na poręczy fotela.

— Czy... miałem rację, podejrzewając...?

— Mam podstawę sądzić, że tak! Przynajmniej częściowo! Dowiem się całej prawdy, gdy pomówię z Szan Tungiem!

Uśmiechnął się złośliwie. Oczy MacDowella były złe i ponure. Inspektor westchnął i palce jego zwiotczały.

— Pamiętaj, że on cię nienawidzi! — zaczął po chwili milczenia. Mówił wolno i zdawał się z trudem dobierać wyrazy. — - Jeśli wyczujesz w nim groźbę... Jeśli się na cię rzuci...

— Wtedy we własnej obronie — mogę go zabić! — oschle dokończył Keith.

MacDowell nie odpowiedział. Zdawał się w ogóle nie słyszeć słów podwładnego. Lecz Keith zrozumiał, że trafił w sedno.

Rozsiadł się wygodniej i zaczął zdawać relację ze swej wizyty u Miriam Kirkstone. Gdy opowiadał o tym, jak zauważył tam ślady bytności Szan Tunga, twarz MacDowella stała się purpurowa. Lecz stary wyga opanował wściekłość i nie zdradził się niczym.

— Tak! — rzekł wreszcie, udając spokój. — Wiedziałem, że on tam bywa! A dziś oboje kłamią mi w żywe oczy! On i ona, rozumiesz! Panna patrzy mi w twarz i łże, ani się zająknie! On łże również, a nawet poważił się ze mnie drwić! Roześmiał się! Co za śmiech! Nigdy nie przypuszczałem, że człowiek jest zdolny do wydania takiego dźwięku! I mało tego, powiedział mi coś... coś... w co nigdy w życiu nie uwierzę!

Zerwał się i począł biegać po pokoju. Nagle stanął o dwa kroki od Keitha.

— Dlaczego, na Boga, nie przywlokłeś ze sobą tego Keitha? Należało choć z niego wymusić pisemne zeznanie!

Keith poczuł się jak ogłuszony.

— Co... co to ma jedno z drugim wspólnego? — bąknął.

— Więcej niż przypuszczasz! Ale, wracając do rzeczy, dlaczego nie wymogłeś na nim pisemnego zeznania? Konający zazwyczaj czyni to chętnie!

— Jeśli czuje się winnym — tak! — przyznał Keith. — Ale tu było inaczej! John Keith twierdził, że jeśli nawet zabił sędziego Kirkstone'a, czego nie był pewien, nie żałuje tego wcale! Nie uważał się za zbrodniarza! I dlatego w obliczu śmierci nie chciał się przyznać do popełnienia zbrodni!

MacDowell zajął znów miejsce w fotelu.

— A najgorsze ze wszystkiego — warknął — że nie mogę w żaden sposób zahaczyć Szan Tunga! Miriam Kirkstone jest pełnoletnia i w oczach prawa ten żółty diabeł nie zasługuje na potępienie! Ale tylko w oczach prawa, bo poza tym...

Urwał i wpił się oczyma w Keitha, jakby chcąc go przejrzeć na wylot.

— Nie boisz się go? Bo on cię nienawidzi jak zarazy! Gdy się spotkacie...

Urwał raz jeszcze. Najwidoczniej czekał, by Keith dokończył zdanie. Lecz on wstał, milcząc, i wykonał jedynie dwa charakterystyczne gesty Connistona: wzruszył ramionami i pokręcił wężą. Uśmiechnął się przy tym zimno, patrząc w oczy zwierzchnika. Bardziej niż kiedykolwiek był w tej chwili podobny do swego sobowtóra.

— Sądzę, że spotkamy się właśnie dziś! — rzekł znacząco. — Zdaje się, stary, że pora mi iść! Chciałbym go odwiedzić przed obiadem!

MacDowell odprowadził go do drzwi. Nim Keith zdołał je otworzyć, inspektor raz jeszcze chwycił go za rękę.

— Pamiętaj, miej się na baczności, Derry! Gdy przyjdzie do walki, nie daj się zaskoczyć!

Keith uśmiechnął się, skinął głową i wyszedł. Dopiero za progiem zorientował się, że MacDowell nie podzielił się z nim tą niezwykłą wiadomością, o której na początku wspomniał.

ROZDZIAŁ XVII

SYTUACJA SIĘ WIKŁA

Keith bez zwłoki ruszył w stronę domu Chińczyka. Nie wahał się ani chwili. MacDowell wskazał mu najprostszy sposób uzyskania wygranej. Ten żelazny człowiek, uosobienie prawa, dał mu wyraźnie do zrozumienia, że świat tylko zyska, gdy się go uwolni od Szan Tunga. Inspektor policji, który wobec mordu nie znajdował nigdy okoliczności łagodzących, sam doradzał zabójstwo.

Keith był jednocześnie oburzony i zadowolony.

Przeciął parę ulic, a znalazłszy się przed kawiarnią Chińczyka — wszedł. W ciągu czterech lat zaszło tu wiele zmian. Zaledwie minął hall pełen barwnych parawanów, już wyczuł specyficzną i niepokojącą atmosferę Wschodu. Lokal był urządzony kosztownie i niemal z przepychem, jakkolwiek bez jaskrawego zbytku. Ciężkie, rzeźbione meble podkreślały dobry gust właściciela. Płótnu obrusów i serwet oraz srebru sztucców nic nie można było zarzucić. Wzorzyste ekrany dzieliły salę tak kunsztownie na szereg przytulnych zakątków, że z żadnego punktu nie dało się objąć wejrzeniem całości.

Keith słyszał od czasu do czasu stłumione głosy nielicznych gości. Pora obiadowa jeszcze nie nadeszła. Dwóch służących, Chińczyków, przebiegało salę cicho — jak koty. W głębi stał trzeci Azjata, paląc papierosa i bacznie, niby łasica, obserwując wszystkich i wszystko. Był to Li King, prawa ręka Szan Tunga.

Keith zbliżył się. Gdy był zaledwie o parę kroków od niego, Li King skłonił głowę i wyjął z ust papierosa. Milczał, lecz w wyrazie jego twarzy było wyraźne pytanie: czego pan sobie życzy?

— Proszę to zanieść panu Szan Tungowi! — przemówił Keith. — Czeka na mnie!

Li King spojrział na bilet, który Keith mu podawał. Miał głupi wyraz twarzy, nie wiadomo: prawdziwy czy też udany. Przecząco ruszył głową.

— Szan Tung nieobecny!

Keith, zły, próbował go wybadać, lecz Li King twierdził z uporem, że nic nie wie. Nie ma pojęcia, dokąd pan poszedł ani kiedy wróci. Keith zapłonął gniewem, ale pohamował się w porę, pewien, że chytry żółtolicy sługa śledzi ukradkiem wyraz jego twarzy i zda potem Szan Tungowi dokładną relację z wszystkich jej drgnień. Więc na pozór obojętnie rzucił okiem na zegarek, kupił papierosa przy oszklonej ladzie i wyszedł uśmiechnięty, zapowiadając powtórny wizytę.

Nieprzewidziana zwłoka mogła się okazać niebezpieczna. Należało co prędzej odnaleźć Szan Tunga. Keith pomyślał, że Miriam Kirkstone może mu w tym skutecznie dopomóc i ruszył prosto w kierunku jej sadyby. Doznał powtórnego rozczarowania. Dom był pusty lub zdawał się być takim. W każdym razie nikt, nie odpowiedział na jego natarczywe kołatanie i dzwonienie.

Zawrócił więc w stronę miasta. Po drodze zagadnął parę osób, lecz nikt nie widział Szan Tunga. Wstąpił na dworzec i tam uzyskał zapewnienie personelu, że Chińczyk nie wyjechał dziś z Prince Albert — nie sprzedano mu biletu. Zatem Szan Tung nie wyruszył w dalszą podróż.

Keith zaczął podejrzewać, że w ogóle cała ta historia jest zmyślona. Przedstawił sobie pannę Kirkstone, spoczywającą w tej chwili w ramionach Azjaty, i uczył przyływ wstrętu. Zły, ruszył w stronę biura MacDowella. Stał przed inspektorem i zarzucił go potokiem słów.

— Prawdę mówiąc — oświadczył — ten związek jest ich prywatną sprawą! To, że ona ma skórę białą, a on żółtą, nie powinno nas obchodzić! Bóg z nimi! Ponadto kto inny powinien dbać o honor panny! Gdzież się podział jej opasły braciszek?

MacDowell pominął milczeniem pytanie Keitha.

— Ależ zrozum, Derry — zaczął — że to nie jest z jej strony prawdziwa miłość! On ją w ten czy inny sposób — zmusił!

Lecz Keith nie dał się zbić z tropu.

— Nie o to mi teraz chodzi! — przerwał. — Jeśli mam się tą sprawą zająć, muszę wszystko wiedzieć! Gdzie, u diabła, podział się jej brat?

MacDowell był mocno zmieszany. Keith zauważył to i czekał, nie spuszczać oczu ze swego zwierzchnika.

Inspektor wstał i podszedł do okna. Spojrzał przed siebie nie widzącymi oczami, po czym podkręcił węża i zachmurzony wrócił na środek pokoju.

— Muszę przyznać, Conniston, że zadałeś mi trudne pytanie. Na pozór to drobiazg, a jednak...

— W podobnych sprawach drobiazgi mają nieraz pierwszorzędne znaczenie! — wtrącił Keith. — Gdzie więc jest Piotr Kirkstone? Dlaczego nie dba o honor siostry?

— Nie wiem! — rozłożył ręce MacDowell. — Nie mam pojęcia! Znikł z miasta przed miesiącem! Miriam mówi, że pojechał do Kolumbii Brytyjskiej kupować jakąś kopalnię. Sama dobrze nie wie, gdzie...

— Wierzysz jej?

Oczy obu mężczyzn spotkały się. Keith patrzył twardo, nieustępliwie; MacDowell był coraz bardziej zmieszany.

— Nie! — przyznał wreszcie. — Sądzę, że kłamie! Kłamie z tupetem, lecz dość nieudolnie. Trudno uwierzyć, by Piotr Kirkstone, ten leniwy grubas, zajmował się jakimiś interesami, szczególnie takimi, które wymagają pewnego nakładu energii.

Co najdziwniejsze, że ona strasznie kocha swego opasłego brata. Między nami mówiąc, dowiadywałem się o niego w Kolumbii Brytyjskiej. Oczywiście nikt go tam nie widział! Więc kłamie! Dlaczego? Po co? Szan Tung ją do tego zmusza, ale w jakim celu?

— Czasem bywa, że nie można wyjawić prawdy — wtrącił Keith. — Czasem prawda musi się starannie kryć. A tą sprawą zajmę się dziś jeszcze! Mam nadzieję, że do wieczora zdobędę trochę nowin. Zadzwoń wtedy lub wstąpię...

Wracając do Chatki rozważał na wszystkie strony nowy plan. Zobaczy Miriam i bez ogródek spyta ją o adres brata. Potem wróci do MacDowella, oznajmi mu, że jedzie do Kolumbii Brytyjskiej w poszukiwaniu Piotra Kirkstone'a i pojedzie tam w samej rzeczy — z Juddy. Oczywiście, nie wróci już do Prince Albert. Zaszyje się w jakiejś głuszy, a doniesie zwierzchnikowi, że emigruje z siostrą do Australii. Plan był jasny i Keith nie przewidywał żadnych przeszkód. Sprawa panny Kirkstone obchodziła go już teraz wyłącznie jako odskocznia dla osiągnięcia własnego celu.

Tymczasem Juddy pokrzyżowała w krótkim czasie wszelkie jego zamiary. Najwidoczniej czatowała nań, gdyż w pół zbrocza zobaczył ją biegnącą na spotkanie. Najpierw zbesztła go za tak długą nieobecność. Potem, opasana jego ramieniem, zaczęła znów iść pod górę. Wybierając drogę na krętej ścieżynie, Keith spostrzegł, że czoło Juddy zmarszczyło się nagle.

— Derry! — spytała raptem. — Czy tu istnieje zwyczaj, by panny składały wizyty mężczyznom?!

— Co? Jak? To zależy, Juddy! Ale o kim mówisz?

— O tobie, Derry, i o niej, wiesz? Jest bardzo ładna, więc rozumiem, że może ci się podobać! Jednak trochę mi przykro!...

Przygarnął ją ku sobie tak mocno, że aż krzyknęła z bólu.

— Derry! — gderwała rozbawiona. — Jeszcze raz i złamiesz mnie na dwoje!

— To mimo woli, kochana! Wybacz! — tłumaczył. — Nie mogłem się powstrzymać! Tak się

cieszę, że... że jesteś o mnie troszkę zazdrosna! Widzisz, ja nie umiem kochać dwu istot naraz! Obecnie kocham ciebie, maleńka, i kochać będę zawsze!

— Wcale nie jestem zazdrosna! — protestowała panienka czerwona jak mak. — Tylko ona dzwoniła dwa razy, a potem przyszła, no i jest bardzo ładna!

— Mówisz zapewne o pannie Kirkstone?

— Tak! Strasznie chce ciebie widzieć, Derry!

— A co o niej myślisz, droga? Spojrzała nań prędko i badawczo.

— Więc... podoba mi się! Musi być dobra i jest tak piękna. Zakochałam się w jej włosach. Tylko musi mieć jakieś zmartwienie. Próbowала to ukryć, ale ja dobrze widziałam!

— Była zapewne zdenerwowana i blada, i miała zalękniony wyraz oczu! Czy tak?

— Tak, Derry! Właśnie tak było!

Keith uśmiechnął się. Horyzont poczynał się rozjaśniać. Wszystko szło jak najlepiej. Było mu w gruncie rzeczy obojętne, z jakiego powodu Miriam złożyła mu wizytę. Dbał jedynie o własną grę i radował się z prędkiej i niemal pewnej wygranej. Uznał, że nadszedł czas, by Juddy dowiedziała się o tym i owym. Należało ją przygotować.

U szczytu wzgórza, na małej platformie opodal Chatki, rosły kępy srebrnych brzoź, a w cieniu jednej z nich stała ławka. Keith usiadł i posadził Juddy obok siebie. Potem zaczął mówić.

Juddy poróżnowiała ze szczęścia. Radowała ją perspektywa dalekiej wyprawy we dwoje, a Keith, widząc jej podniecenie i wesołość — popełnił głupstwo. Zamiast skończyć w paru słowach opowiadał dalej, chcąc przedłużyć rozkoszne sam na sam. W oględnych słowach wspomniął o losie panny Kirkstone. Chciał upewnić Juddy, że piękna Miriam jest mu najzupełniej obojętne. Zagalopował się fatalnie. Oświadczył, że umywa ręce. Niech jej broni ten tłuszcioch Piotr lub zakochany MacDowell. Niech się zresztą broni sama! Niech ginie, jeśli taka jej wola!

Wtem dostrzegł, że wyraz oczu Juddy zmienił się radykalnie. Patrzyła mu w twarz poważnie i badawczo. Rumieńce szczęścia znikły z jej policzków. Zrozumiał, że siostrzyczka Connistona ma swój własny punkt widzenia. On przedstawił jej dramat Miriam jako pomyślną okoliczność, a ona wzięła sobie do serca los obcej kobiety bardziej bodaj niż swój własny.

Keith uczuł nagły przyływ wstydu. Palce Juddy zacisnęły się na jego dłoni.

— Więc dlatego ona była taka blada i miała w oczach taką straszną rozpacz?! — zaczęła wolno. — Winien ten chiński potwór, Szan Tung! Zahipnotyzował ją może, a teraz panuje nad nią!

Wyszarpnęła palce z jego uścisku i spojrzała mu w oczy niemal groźnie. Żrenice miała prawie czarne.

— Derry! — rzekła ostro. — Jeżeli ty nie pomożesz jej, jeżeli nie zgnębisz tego Azjaty, to ja...

Zerwała się z ławki. Nie była to już mała, cicha dziewczeczka sprzed półgodziny, lecz dorosła kobieta, gotowa walczyć zaciekle o los innej kobiety.

Keith uczuł nagły przyływ dumy. Nie żałował wcale, że jego plan nie powiódł się. Był silny. Postanowił walczyć. Wyciągnął ręce. Juddy padła mu w ramiona i utuliła w dłoniach jego twarz, podczas gdy całował jej różane wargi.

— Zobaczysz, Najmilsza! — rzekł wreszcie. — Zabiorę się do niego i dam mu radę!

ROZDZIAŁ XVIII

ŻMIJA

Walii, zrozpaczony, że obiad stygnie, znalazł Keitha i Juddy pod kępą srebrnych brzoź i błagał, by zechcieli zasiąść do stołu. Uczta była wyśmienita. Potem Juddy popijając kawę, a Keith paląc cygara, zaczęli omawiać konkretnie dalsze plany.

Keith obiecał solennie, że jak najprędzej, może dziś jeszcze, odnajdzie Szan Tunga. Tonąc w promiennej głębi radosnych oczu Juddy, nie dostrzegał żadnych przeszkód ani trudności. Rad był zacząć wreszcie pojedynek.

Lecz gdy skończył palić cygara, panienska opuściła swe miejsce przy stole, jak ptak skoczyła na poręcz jego fotela i zaczęła mu wicherzyć włosy delikatnymi muśnięciami palców. Keitha odbiegła wnet chęć szukania Azjaty. Gotów był tak siedzieć do sądneho dnia. Juddy pochyliła się dwukrotnie i za każdym razem dotknęła jego czoła wargami. Opasał ją ramieniem, rzekomo, by nie spadła. Przez materiał sukienki czuł jej smukłą i gibką talię. Serce kołatało w nim nierówno, jak zmęczony mechanizm. Wreszcie Juddy przypomniała sobie, że pora iść, i stanowczo wyprosiła go z domu; przedtem jednak, stojąc na czubkach palców, ucałowała go serdecznie w oba policzki. Po tej pieszczocie Keith czuł się silniejszy, niż gdyby miał za sobą pułk żołnierzy. Postanowił działać ostro. Jak w dym, ruszył do domu panny Kirkstone.

Nie doszedł nawet do wejściowych drzwi. Wśród krzaków porzeczek ujrzał z dala zarys jej postaci, a w słońcu mignęły mu złotem jej wspaniałe sploty. Uprzytomnił sobie raptem, że właśnie te włosy czynią najbardziej potwornym jej związek z Szan Tungiem. Gdyby były czarne lub orzechowej barwy, nie istniałby tak jaskrawy kontrast między tą białą dziewczyną a skośnookim Azjatą.

Miriam dostrzegła go niemal jednocześnie i śpiesznie ruszyła na spotkanie. Z jej twarzy biła nieklamana radość.

— Przykro mi, że byłem nieobecny, gdy pani raczyła nas odwiedzić! — rzekł Keith, ujmując jej wyciągniętą dłoń. — Zapewne chciała mi pani coś powiedzieć o Szan Tungu!

Zaatakował otwarcie i bez zwłoki. Nie mogło być nieporozumień. Spostrzegł wnet, że jej oczy stały się zimne i nieufne, jakby nie tylko słyszała jego słowa, lecz także czytała myśli.

— Czyż nie o to pani szło?

Twierdząco skinęła głową. Wargi miała zacięte.

— O co chodzi, panno Miriam? — zaczął Keith miękko. — Dlaczego pani coś ukrywa? Dlaczego nie chce pani wszystkiego wyznać mnie lub inspektorowi MacDowell? Chciał jeszcze dodać: lub bratu? Lecz Miriam chwyciła go za ramię tak nagle, że mimo woli urwał.

— Szan Tung odwiedził dziś MacDowella! — dyszała chrapliwie. — Szan Tung wyjaśnił mu...

— Nie wiem, co między nimi zaszło! — rzekł Keith spokojnie. — Jednak MacDowell bardzo się o panią troszczy. Ja również. Mówmy szczerze, panno Miriam. Przyjaźń pani z Szan Tungiem nie jest rzeczą normalną. A jednak łączy was — przyjaźń! Pani temu nie zaprzeczy! Bywała pani u niego nocą. On bywał u pani również. Był nawet wówczas, gdy odwiedzałem panią po raz pierwszy. Co więcej, on i teraz właśnie znajduje się w domu pani!

Cofnęła się gwałtownie.

— Nie! Nie! — krzyknęła głośno. — Jego tu nie ma! Przysięgam, nie ma go!

Keith patrzył na nią surowo.

— Jakże mam pani wierzyć? — rzekł. — Skłamała pani w swoim czasie wobec MacDowella,

gdy pytał panią o brata. Wiemy, że w grę wchodził Szan Tung! Ale jakim cudem! Chcę pani pomóc! Chcę o panią walczyć! MacDowell również trzyma stronę pani! Ale musimy wszystko wiedzieć! Czy pani kocha tego Chińczyka?

Wiedział, że te słowa będą dla niej obelgą. Obrażał ją rozmyślnie. Chciał, by straciła panowanie nad sobą.

Twarz Miriam poczerwieniała nagle, a potem zbladła. Cofnęła się. Oczy jej płonęły. Z wolna, wyciągniętym palcem, wskazała trawnik opodal. Keith spojrział. Na murawie, zwinięta jak sprężyna, na wpół wgnieciona ciosem w miękką ziemię, leżała martwa zielona żmija.

— Nienawidzę go jak tej gadziny! — syknęła panna Kirkstone.

Keith przeniósł znów oczy na jej twarz.

— W takim razie — odrzekł spokojnie — z jakiego powodu pani sprzedała się Szan Tungowi lub też chce mu się sprzedać?

— Mam ten zamiar! Właśnie teraz odbywa się targ!

Keith zaniemówił, słysząc to niezwykle wyznanie. Tymczasem panna Kirkstone, na pozór przynajmniej, odzyskała zupełny spokój. Jej następne słowa oszołomiły Keitha do reszty.

— Wypowiadałam się przed panem tak szczerze, gdyż wiem, że pan mnie nie zdradzi! Odwiedziłam Chatkę dziś rano, gdyż miałam zamiar prosić, by pan dopomógł mi oszukać MacDowella. Wszak proponował mi pan swą pomoc! Czy pan się nie cofa?

Keith wciąż jeszcze milczał. Ona mówiła dalej.

— Chcę wierzyć, że pan nie złamie danego słowa! MacDowell coś podejrzewa, jednak nie wie nic określonego! Musi mi pan pomóc, utrzymać go w niepewności dwa, do trzech tygodni. Po upływie tego czasu coś się może zmienić... Lecz na razie muszę kłamać! Pan... rozumie?

— Częściowo tylko! — Keith odzyskał wreszcie mowę. — Żąda pani mej pomocy, a w zamian nie wyjaśnia nic i mówi jedynie, że za jakąś niewiadomą cenę sprzedała się Szan Tungowi. Chce pani, bym zwiódł MacDowella, który już jest na tropie. Gdyby nie podejrzenie, iż pani jest niespełna rozumu, powiedziałbym wprost, że propozycja pani jest obraźliwa i bezczelna. Ale tak — żal mi pani szczerze! Odmawiam kategorycznie. Ponadto, chcę wiedzieć, co zmusza panią do zaprzędania się temu Azjacie?

Twarz Miriam była śmiertelnie blada, a ręce jej drżały. Starła się ukryć ten dygot i Keith poczuł dla niej wielką litość.

— Ja również kategorycznie odmawiam jakichkolwiek zeznań! — rzekła. — Nie będę pana więcej fatygować! Czy mogę prosić, by pan zechciał zachować moje zwierzenia w absolutnej tajemnicy? Ufałam panu głęboko, gdyż znał pan blisko Johna Keitha. Do niego zwróciłabym się również — gdyby żył...

— John Keith! Jakżeby on mógł pani pomóc? Przecząco poruszyła głową.

— Nie mogę powiedzieć nic więcej! — odrzekła cicho. Keith stanął wobec zagadki nie do rozstrzygnięcia. Wiedział,

że prośby i groźby nic tu nie działają. Raptem olśnił go nowy pomysł. Cel uświęca środki. Zacisnął pięści. Przywołał na twarzy surowy i zły wyraz. Rzekł ostro:

— Proszę uważać! Prowadzimy oboje jakąś grę, pani nie zna moich kart, ja — pani! Ale, kto wie, może cel mamy jednaki. Czy pani mi pomoże, gdybym ja pani pomógł?

Zrobiło mu się jej żal. Tak impulsywnie chwyciła przynętę.

— O tak! — rzekła, a jej oddech stał się szybki i nierówny. — O tak, pomogę!

Keith wpił się w nią oczyma.

— Proszę mówić szczerze! — zaczął i postąpił krok bliżej. — Gdyby mu się stało coś złego,

gdyby umarł, gdyby...

Oddychała coraz szybciej. Gorączkowe rumieńce barwiły jej twarz.

— Czy pani miałyby coś przeciwko temu?

— Nie! Nic! On zasłużył na śmierć!

— Więc proszę mi powiedzieć, gdzie Szan Tung się obecnie znajduje? Gram właśnie przeciw niemu! Stawką jest śmierć lub życie! Dlatego też obchodzi mnie sprawa pani. Pani może mi pomóc! Nie będę się starał dowiedzieć, co was ze sobą łączy. Puszczę MacDowella na fałszywy trop. Ale gdzie jest Szan Tung?

Zawahala się na moment.

— Wyjechał. Wróci za dziesięć dni!

— Ależ nie kupował biletu! Nikt go nie widział na dworcu!

— Nie! Pojechał autem w górę rzeki. Dziś w nocy schwyta na jednej z dalszych stacji pociąg idący do Winnipeg!

— Czy może pani powiedzieć, po co tam pojechał?

— Nie, nie mogę!

Keith wzruszył ramionami.

— Zresztą, niepotrzebnie pytam. Łatwo zgadnąć. Szan Tung ma się widzieć z pani bratem.

Z wyrazu jej oczu poznał, że dobrze trafił. Ona jednak zaprzeczyła stanowczo.

— Nie!

Wyciągnął ku niej dłoń.

— Panno Miriam, dotrzymam swej obietnicy. Dopomogę pani we wszystkim. Tylko proszę mi przysiąc, że powiadomi mnie pani, gdy Szan Tung wróci!

— Przysięgam! Dam panu znać.

Podali sobie ręce. Keith ujrzał w oczach dziewczyny niewysłowioną mękę. Serdecznie uściskał jej dłoń i odchodząc już — rzekł:

— Póki życia, póty i nadziei! Zdaje mi się, że gdy załatwię swój rachunek z Szan Tungiem, dla pani sprawy również znajdzie się pomyślne rozwiązanie. Więc — za dziesięć dni!

Uśmiechnął się i ruszył w powrotną drogę. Miriam żegnała go wzrokiem; ręce miała kurczowo zaciśnięte na piersi, a w oczach błysk otuchy. Lecz, gdy usłyszała zgrzyt zamykanej furtki, twarz jej stężała i wyszeptala głosem pełnym beznadziejnej rozpacz:

— Dziesięć dni... a co potem? Co potem?

ROZDZIAŁ XIX

DZIESIĘĆ DNI

W ciągu tych dziesięciu dni z południa nadciągnęły ciepłe wiatry i kraj przyodział się w barwne, czerwcowe szaty. Wszędy czuło się gorący oddech lata. Na łągach zakwitły purpurowe kwiaty — jak zęby ognia. Lasy pozieleniały pąkami młodych liści. Niebo nad ziemią było błękitne niby len.

Keith pełną piersią rozkoszował się słonecznymi dniami. Po czteroletniej włóczędze na dalekiej pomocy, bardziej niż ktokolwiek inny, cenił dar wiosny i lata. Juddy oglądała po raz pierwszy cud dojrzewania dziewiczej przyrody w najpiękniejszym jej objawieniu. Nie ma bowiem na świecie zakątka, w którym lato umiałoby się tak zdobić, jak nad brzegami Saskatchewanu.

Keith dotrzymał słowa danego Miriam. Bez trudu rozproszył podejrzenia MacDowella, gdyż inspektor chciwie łowił pocieszające kłamstwo. Kiedy Keith powiedział mu, że Miriam popadła w nerwową depresję, gdyż Szan Tung wciągnął jej brata w jakąś podejrzaną finansową imprezę — ale że sprawa ta da się pomyślnie załatwić po powrocie Chińczyka z Winnipeg — MacDowell chwycił go za rękę w nagłym porywie wdzięczności.

— Ale dlaczegóż nie chciała mi zaufać, Derry? — skarżył się wnet potem. — Dlaczego mi nie dowierza?!

Z brzmienia głosu i wyrazu oczu robił wrażenie zakochanego uczniaka.

Keith przygotował się już na podobny zarzut.

— Dlatego, że... — tu urwał, udając zmieszanie. — Proszę zrozumieć, w jak trudnej jestem sytuacji. Nie mogę stawiać kropki nad i. Pan jest ostatnim człowiekiem, któremu panna Kirkstone zwierzy się ze swych trosk. Kobieca wrażliwość, a może coś więcej... przy tym chce najpierw być wolna od wszelkich podejrzeń.

MacDowell odwrócił się ku oknu, ale Keith dostrzegł, że barki mu drżą.

— Derry! — zaczął inspektor po chwili. — Kto wie, może dobrze zgadłeś! Może jej o mnie chodzi... trochę! Co do mnie, jestem tak stary... Mógłbym być jej ojcem, a jednak... Oczywiście, będę milczał, choć mam prawo jej bronić. Jeśli ktokolwiek ośmieli się ją skrzywdzić!

Zacisnął pięści, a Keith rzekł cicho:

— Jeśli ktokolwiek ośmieli się ją skrzywdzić, postąpisz może tak, jak postąpił John Keith, mszcząc hańbę ojca...

MacDowell nie odpowiedział nic i Keith wyszedł, nie zdoławszy dojrzeć wyrazu twarzy żelaznego inspektora.

Wobec Juddy nie poniżył się do oszustw. Opowiedział jej niemal wszystko, jeśli zaś ujął to i owo, to w każdym razie nic nie dodał. Miał przy tym nadzieję, że siostrzyczka Connistona, chwilowo przynajmniej, przestanie się interesować tą sprawą. Pomylił się najzupełniej. Juddy czuła do panny Kirkstone wyraźną sympatię i zaraz następnego dnia zaprosiła ją do Chatki na obiad.

— Wiesz, gdyby nie twoja obietnica, że się nie zakochasz — byłabym w strachu! — mówiła tegoż wieczoru, siedząc na poręczy fotela Keitha. — Ona taka śliczna i co za cudne włosy! A ty lubisz ładne włosy, prawda, Derry?

— Wcale sobie nie przypominam, bym coś podobnego obiecywał! — rzekł Keith spokojnie. — Jestem rozpaczliwie zakochany w tobie — Juddy! A co do panny Kirkstone, oddałbym chętnie wszystko, co ma na głowie, za jeden twój włos!

Juddy parsknęła śmiechem i — rzucając raptownie na podłogę grzebienie i szpilki — rozluźniła

swe faliste sploty, aż ją okryły całą niby płaszczem. Keith zbladł i przymknął oczy.

— Nieraz przychodzi mi na myśl taka śmieszna rzecz! — szepnęła dziewczuszka, przykładając wargi do jego ucha. — Gdyby nie to, że lubiłeś mnie zawsze, pieściłeś i całowałeś, gdy byłam małeńka, powiedziałabym, że wcale nie jesteś moim bratem!

Keith roześmiał się sztucznie i był rad, że jej włosy osłaniają rnu twarz.

W ciągu tych pierwszych dni lata byli niemal nierozłączni, a rozstawali się jedynie, gdy Keith załatwiał służbowe sprawy. W tym czasie również uporządkował swe prywatne interesy. Dowiedział się od MacDowella, że tereny i dom Keithów, położone w Prince Albert, a ocenione na sto tysięcy dolarów z górą, mają być wkrótce oddane spadkobiercom. Ze względów formalnych jednak nie mogło to nastąpić wcześniej niż za parę miesięcy. Keith wiedział, że jego los zostanie przypieczętowany znacznie wcześniej, toteż na wszelki wypadek sporządził akt darowizny, przekazując całą swą majątność siostrze Connistona. Papier ten podpisał własnym imieniem i nazwiskiem; nosił go w kopercie, przypiętej do podszewki kurtki. Poza tym, jako Derwent Conniston, pobrał tysiąc dwieście sześćdziesiąt dolarów, czyli trzy i półroczną, zaległą pensję. Dwieście sześćdziesiąt zatrzymał sobie, pozostały tysiąc schował do koperty i wręczył Juddy.

— Bezpieczniej będzie, jeśli zatrzymasz te pieniądze przy sobie! — rzekł. — Ukryj je pod bluzką! To nasz kapitał na wyprawę w góry!

I Juddy przyjęła depozyt, dumna, że powierzono jej tak ważną funkcję.

Keith przeżywał teraz jednocześnie dni szczęścia i męki, gdyż, nawet w chwilach najgłębszego upojenia, zgryzota żarła mu serce.

Śnił pewnej nocy, że odwiedził go Conniston, a siadłszy na krawędzi łóżka, uśmiechał się drwiąco, mówiąc, że skazał go na los Tantała. I Keith wiedział, że to prawda. Juddy była i miała mu być siostrą, niczym więcej — a on kochał ją miłością mężczyzny!

Tak się męczył, nie widząc wyjścia, że był niemal rad, gdy nastąpiła godzina walki. Dziewiątego dnia kończyli właśnie jeść kolację, gdy telefon zadzwonił. Keith wstał i ujął słuchawkę. Mówiła panna Kirkstone.

— Wrócił! — rzekła krótko. Nie dodała nic więcej. Głos miała lekko ochrypy. Keith odpowiedział: „dziękuję” i powiesił trąbkę. Czuł, że mieni się na twarzy. Juddy spojrzała nań badawczo. Łagodnie przyglądał jej włosy, oznajmiając, że Szan Tung przyjechał i że idzie się z nim rozmówić. Przeszedł do sypialni i ukradkiem wsunął rewolwer do kieszeni.

W progu drzwi wejściowych — przystanął. Juddy zbliżyła się i zarzuciła mu ręce na szyję. W oczach miała silny niepokój, lecz nie pytała o nic.

Keith doznał raptem wrażenia, że widzą się po raz ostatni; Był tego niemal pewien. Przytulił ją do piersi i trzymał — długo.

— Kochasz mnie? — spytał raptem.

— Nad życie! — odszepnęła cicho.

— Pocałuj mnie, małeńka!

Ucałowała mu usta, czoło i oczy. Wtedy, milcząc, wypuścił ją z objęć i wyszedł.

Juddy stała w progu, ścigając go wzrokiem dopóty, dopóki nie pochłonął go mrok nocy. Dopiero w połowie zбочa Keith usłyszał trzask zamykanych drzwi.

ROZDZIAŁ XX

POCZĄTEK KOŃCA

Miriam Kirkstone ze zgrozą patrzyła w oczy Keitha. Twarz miała bladą, bez kropli krwi.

— Wstąpił tu, zabawił kwadrans! — mówiła, a głos jej zdawał się być martwy, pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu. — Powiedział, że... Ach, jeśli się panu nie uda, to ja...

Urwała. Keith nie spuszczał oczu z jej szyi białej jak alabaster. Widział spazmatyczne ruchy gardła.

— Jeśli mi się nie uda, to co? — powtórzył pytająco.

— Będę miała wówczas tylko jedno wyjście! Pan... rozumie!

— Rozumiem! — rzekł Keith spokojnie. — Uda mi się na pewno!

Tyłem cofnął się do drzwi. Nie mógł oderwać oczu od jej śnieżnej, gwałtownie pulsującej szyi.

— Zadzwoń wkrótce, by donieść o rezultacie! Będzie pani w domu?

— Będę! — odpowiedziała Miriam.

Wyszedł. Pod stopami słała mu się ścieżka — srebrna od księżyca. Nad głową miał rozgwieżdżone niebo. Była to jedna z owych bajkowych nocy, zdarzających się latem w dolinie Saskatchewanu. Miasto płonęło ogniem świąteł. Keith począł się doń zbliżać, krocząc zdecydowanie w dół zbocza. Mijał grupy rozbawionych mieszkańców. Słyszał muzykę dobiegającą z rozrywkowych lokali. Po głównej ulicy przewalał się radosny tłum. Na jakimś rogu członkowie Armii Zbawienia śpiewali hymn, zaczynający się od słów: „Blżej do Ciebie, o Panie!...” Naprzeciw składów kompanii wędrowny lekarz szarlatan gromadził ciekawą gawieź.

Keith szedł prędko, krokiem równym i stanowczym. Za chwilę miał rzucić na szalę własny byt; czuł powagę chwili, ale nie lękał się.

Znalazł się wreszcie przed domem Szan Tunga. Spoza kotar łyśkały żółte, przymglone światła. Wszedł i wnet ogarnął go gwar głosów, śmiechy, brzęk kryształów, woń cygar i delikatny aromat wschodnich kadzideł. A Li King, skośnooki, niewzruszony, z papierosem w wąskich wargach, stał wciąż na dawnym miejscu tak samo, jak dziesięć dni temu.

Keith ruszył wprost na niego. Tym razem Li King przywitał natręta subtelnym uśmiechem. Cisnął w kąt papierosa. Ukłonił się wdzięcznie. Dziś nie udawał głupca; był naturalnie sprytny i przebiegły.

— Przyszedłem, by widzieć się z Szan Tungiem! — rzekł Keith.

Spodziewał się, że mu odmówią prawa wstępu. W tym wypadku gotów był użyć siły jako funkcjonariusz policji. Lecz Li King ani myślał czynić przeszkód. Zdawał się być zadowolony z prośby Keitha. Keith zrozumiał, że Szan Tung oczekuje jego przyjścia.

Minęli jeden parawan, potem drugi, trzeci, aż Keith doznał wrażenia, że kroczą labiryntem złożonym z wzorzystych zasłon. Dziwaczne, ogniste smoki czy harpie spoglądały z lśniących atłasów i jedwabi. Przystanęli wreszcie przed rzeźbioną ścianą i Li King dotknął palcem piersi fantastycznego ptaka, kunsztownie wrytego w cennym drewnie. Skrzypnęły niewidzialne sprężyny i otwarło się wąskie przejście. Wewnątrz panował mrok, lecz Li King zapalił elektryczne światło, ukryte w boazeriach sufitu. Powiodł potem Keitha dość długim, ciasnym korytarzem, otworzył nowe drzwi i uśmiechnął się zachęcająco.

— Proszę wejść! — rzekł.

Keith dostrzegł schody wiodące ku górze, a gdy zaczął po nich wstępować, usłyszał za sobą lekki trzask zamykanych drzwi. Li King pozostał na dole.

Keith szedł prędko, lecz ostrożnie. U szczytu schodów natknął się na jeszcze jedne drzwi. Otworzył je jak najciszej. Znalazł się w dużej izbie zastawionej dziesiątkami parawanów i nagle dojrzał coś, co osadziło go na miejscu.

Była to właściwie nie izba, lecz wielka sala urządzona z niezwykłym przepychem. Podłogę zaścierał miękki, wschodni dywan; ze ścian zwisały bezcenne szkarłatne draperie tkane srebrem i złotem, a rzeźbione fotele i stoły widniały tu i ówdzie w malowniczym nieładzie. W głębi, pod wyniosłym baldachimem, oświetlona jaskrawym blaskiem świec, klęczała jakaś postać. Tkwiała absolutnie nieruchomo. Keith dojrzał pod ścianą rząd pustych zbroi i przyszło mu na myśl, że to może również tylko manekin.

Salę wypełniała dusząca woń orientalnych kadzideł. Keith, nie przyzwyczajony do narkotyków, zakaszłał.

Postać klęcząca pod baldachimem poruszyła się z wolna, wyrzuciła przed siebie ręce i pochyliła czoło ku ziemi. Ukłon ten powtórzył się trzykrotnie. Potem tajemniczy gospodarz wstał, obrócił się i z uśmiechem wyciągnął dłoń w stronę Keitha.

— Dobry wieczór, Johnie Keith! — przemówił słodko Szan Tung.

Wokół postaci Chińczyka migotała miękka, wschodnia lama, spływając ku ziemi w głębokich fałdach. Na purpurowym tle ciemnej tkaniny płasały wzorzyste pawie. Szan Tung, podobny do groteskowego bożka, bezszelestnie sunął przez pokój.

— Dobry wieczór, Johnie Keith!

Od Keitha dzielił go już tylko krok. Uśmiechnął się przyjaźnie i wciąż wyciągał w stronę gościa otwartą dłoń. Lecz jego głos, miękki jak pomruk kota, brzmiał nutą ukrytego triumfu.

Keith nie podał mu ręki. Udał, że nie widzi wyciągniętej dłoni. Bez drgnienia powiek patrzył w oczy Chińczyka. Szan Tung uśmiechał się bez przerwy. — Nie poznaje mnie pan? — zaczął z lekką ironią. — Jestem Szan Tung! Przyznaję, że wyglądam trochę inaczej niż zwykle. Ale bo też znajduję się u siebie! Proszę, niech pan siada.

Wytwornym gestem wskazał dwa fotele stojące obok rzeźbionego stołu. Pierwszy zajął miejsce, a Keith, po sekundzie wahania, siadł również. Azjata wyczytał snadź z oczu białego nieprzyjazne zamiary, gdyż raptem klasnął w dłonie. — Czy wypije pan ze mną herbatę? — spytał.

Zaledwie wymówił te słowa, już wokół nich, ze wszystkich stron naraz, barwne zasłony zafalowały lekko. Poruszył się jakiś ekran. Powiało świeżym powietrzem. Zadudniły liczne kroki miękko obutych stóp. Kędyś, z ukrytych drzwi, wysliznął się Chińczyk niosąc obrus. Za nim dreptał inny z przyborami do herbaty. Trzeci dążył w ślad za nim, mając w dłoniach dymiący imbryk. A zewsząd dobiegały nadal szmery i szepty. Keith wiedział, że sala roi się od niewidzialnych istot. Jednak ani nie poczerwieniał, ani nie zbladł; rzucił jedynie w stronę Szan Tunga beztroski uśmiech. Upłynęła zaledwie minuta, a już milczący słudzy Azjaty, spełniwszy swe czynności, znikli.

— Niezwykle sprawna służba! — pochwalił Keith. — Niezwykle zwinna! Ale ja trzymam dłoń na czymś, co jest jeszcze zwinniejsze!

— Johnie Keith, dostałeś chyba pomieszania zmysłów! — rzekł spokojnie Szan Tung. — Po co masz mnie zabijać? Bądźmy raczej przyjaciółmi!

ROZDZIAŁ XXI

KSIĄŻĘ KAO

Z twarzy Szan Tunga spadła maska pogodnego uśmiechu. Keith, gotów do walki, podniecający sam siebie koniecznością gwałtownego czynu, doznał nagłego oszołomienia. Szan Tung był ogromnie poważny. W oczach miał ponadto wyraźny niepokój. Najwidoczniej pragnął z całej duszy, by Keith potwierdził przymierze. Lecz nie wyciągnął dłoni po raz wtóry. Zdawał sobie wreszcie sprawę z przepaści dzielącej ich obu. Wyczuwał pogardę białego człowieka. Jego wstręt. Spod matowej skóry policzków jął z wolna przebijać krwawy rumieniec.

— Chwileczkę! — rzekł słodko.

Owiany długą lśniącą szatą, jak wielobarwny cień, pomknął w stronę ściany. Po upływie sekundy — wrócił. W dłoni niósł rulon pergaminu. Usiadł znów i bez drgnienia powiek wytrzymał wrogi wzrok Keitha.

— Obaj jesteśmy mężczyznami! — zaczął Szan Tung. Głos miał niski i układny. Palcami, na których lśniły starannie utrzymane paznokcie, rozwinął rulon i podał go białemu.

Był to dyplom uniwersytecki.

Keith patrzył, szeroko otwierając oczy. U góry pergaminowej karty widniało dziwaczne nazwisko. „Kao Lung, książę Szan Tung”. Pojął część prawdy i zwrócił wzrok w stronę Azjaty.

Chińczyk uśmiechnął się wyniośle. Z jego oczu biła bezbrzeżna duma. Przemówił.

— Jestem książę Kao! Oto mój dyplom! Skończyłem uniwersytet w Yale!

Keith chciał odpowiedzieć, lecz nie mógł dobrać słów. Mruknął coś niewyraźnie. Kao natomiast zwinął zwój pergaminu, złożył go na fotelu obok i przechylił się przez stół. Raptem Keith dojrzał w jego oczach szatański błysk. Tak, to był władca ciemności, pożerany bezgraniczną dumą i namiętnością bez granic.

— Poznałem pana tajemnicę zaraz, w czasie pierwszego spotkania! — zaczął Kao spokojnie. — Najpierw stwierdziłem, że nie jest pan Derwentem Connistonem! Potem było już zabawką dojść reszty. Może zabił pan Connistona... Uprzedzam, że los jego jest mi obojętny. Nienawidziłem go! Zabiłbym go własnoręcznie, gdyby tu wrócił. Johnie Keith, od chwili pierwszego spotkania ze mną byłeś zgubiony! Mogłem cię oddać w ręce kata! Dlaczego tego nie uczyniłem? Dlaczego uprzedziłem cię tylko, że wiem? Dlaczego darowałem ci życie? Czy zgadujesz?

— Częściowo! — rzekł Keith spokojnie. — Ale proszę mówić dalej! Słucham!

Nie przeszło mu nawet przez myśl przeczyć, dowodzić, że nie jest Johnem Keithem! Wszelka polemika na ten temat była tylko stratą czasu. A Keith czuł, że nade wszystko czas powinien mu być teraz drogi.

Kao odgadł jego pobudki.

— Ma pan rację! — skinął głową z uśmiechem. — Po co przeczyć! Ja wiem. Lecz mogę pana jeszcze uratować, choć mogę również — zgubić! Pan może mi w zamian wyświadczyć przysługę. Dobijmy targu! Wygramy na tym obaj. Pan zatrzyma siostrę Derwenta Connistona, a ja posiadam na zawsze moją złotowłosą boginię — Miriam!

— Łatwo mogłem się domyślić, że uczyni mi pan tę propozycję — rzekł chłodno Keith. — Ale proszę mówić dalej.

Teraz jednak Kao najwidoczniej zawahał się. Badawczo wiercił oczyma kamienną twarz siedzącego naprzeciw mężczyzny.

— Pan kocha siostrę Connistona — zaczął wreszcie lekko stłumionym głosem. — Ja wielbię Miriam. Proszę spojrzeć! Pod tym baldachimem mam jej portret i splot jej złotych włosów. Tam modłę się do niej.

W oczach Chińczyka gorzało piekło namiętności. Keith poczuł obrzydzenie. Zaciśnął szczęki. Namiętność Azjaty nie była miłością. Nie miała z nią nic wspólnego. To był szal! Obłąd! Lecz Kao nie wykazywał poza tym cech wariata. Miał tylko duszę potwora!

Chińczyk mówił dalej, głosem jednak słodkim i układnym.

— Wiem, co pan czuje! Wiem, o czym pan myśli! Oczy zasłania panu żółty welon — barwą mojej skóry. Jestem Azjata! — Jego głos stał się słodki jak miód. — Johnie Keith, w prowincji Pe-czi-li wznosi się wielkie miasto — Pekin! Pe-czi-li jest perłą chińskich prowincji, a wnet po niej idzie prowincja Szan Tung. Przodkowie moi rządili nią od setek i tysięcy lat! Mój dziad był mandarynem ósmego stopnia, a ojciec mandarynem dziewiątej klasy, czyli najwyższym dostojnikiem państwa. Miał pałac w Tsi-Nan, nad brzegiem Morza Żółtego. Ja, książę Kao, najstarszy jego syn, przybiłem do Ameryki, by poznać wasze prawa i zwyczaje. I poznałem je dokładnie — Johnie Keith! Wróciłem do Chin i zużytkowując swą wiedzę, spowodowałem upadek rządu. Jakiś czas stałem u steru władzy, potem los obrócił się przeciwko mnie i uciekłem, ratując życie. Ale tu — dotknął dłonią piersi — tętni nadal krew władców! Wyznaję ci to, gdyż wiem, że mnie nie zdradzisz. W Prince Albert wolę być jedynie Szan Tungiem. Tylko ty i Miriam znacie moją tajemnicę.

Keith czuł wewnętrzny żar, lecz głos miał zimny jak lód.

— Słucham! Co dalej? — rzekł spokojnie.

Ale Kao wybuchnął gniewem. Spodziewał się dojrzeć w twarzy białego zachwyt i poddanie, a czytał w niej nadal posępną nienawiść. Powieki zwięzły mu się, tworząc dwie ciemne szparki. Poczzerwieniał.

— Ach, wyznałem ci tak wiele, będąc pewien, że zrozumiesz, co powinieneś uczynić! — syknął — Lecz los pozbawił cię rozumu! Nienawidzisz mnie! Mierzi cię moja żółta skóra! I ona, Miriam, również czuje do mnie wstręt! Cóż stąd? Jest moja! Moja!

Zerwał się i zaczął wymachiwać rękami jak szalenię. Szkarłatne, dziergane złotem rękawy fruwały wokół niego jak języki ognia.

— Patrz! Ależ patrz! To wszystko dla niej! Tu przyjdzie, tu zamieszka, nim ją zabiorę do Chin! Tu, pod tym baldachimem posiadę wreszcie jej cudne ciało! Chcesz wiedzieć kiedy? Dziś! Dziś w nocy.

— Dziś w nocy! — powtórzył głucho Keith.

On również zerwał się z fotela. Twarz miał szarą jak popiół. A Kao miotał się po sali, gestykulował gniewnie, a jego wzorzysta szata połyskiwała i lśniła.

— Patrz! Jej przybycia czekają setki woskowych świec! Z nocy uczynię dzień! Przybędzie dziś! Dziś nieodwołalnie! A ty sam, Johnie Keith, wskażesz jej drogę!

Keith nie spuszczał oczu z żółtego potwora i dziwił się sam sobie, że jest tak spokojny i pełen zimnej krwi.

— Tak, to ty sam przyprowadzisz ją tutaj! Ty — ofiarujesz mi jej cudne ciało! Chodź! Pokażę ci dlaczego!

Podskoczył w kierunku baldachimu. Dotknął palcami dziwacznych rzeźb. Otworzyły się ukryte drzwi. Kao, stając z boku, wskazał je dłonią.

— Proszę! — rzekł.

Keith napełnił płuca powietrzem jak nurek mający paść w głębinę i sprężony w sobie, gotów do czynu, wkroczył do ciemnego korytarza.

ROZDZIAŁ XXII

MORD

Zrobili parę kroków, minęli nowe drzwi, pokryte grubym wojłokiem i znaleźli się w słabo oświetlonej izbie. Izba ta, nie miała innego wyjścia; była niemal kwadratowa, o niskim pułapie i ciemnych ścianach. Dopiero czując woń papierosa Keith zrozumiał, że znajduje się w niej jakiś człowiek. Na razie zresztą nie mógł nic dojrzeć. Lecz z wolna, spośród szarzyzny mroku, wyłoniła się czyjaś, twarz. Było to upiorne oblicze, o zwisających policzkach, pełne zmarszczek i fałd. Zaognione oczy otaczały nabrzmiałe powieki. Źrenice płonęły w nich jak żużle. Poniżej widniała ludzka postać: opasła, niezdarna; ręce nalane tłuszczem wykonywały nieudolne ruchy.

Kao uklonił się wytwornie i wskazał dłonią nędznego osobnika.

— Johnie Keith! — rzekł. — Pozwoli pan sobie przedstawić Piotra Kirkstone'a!

Po raz pierwszy Keith nie zdołał powstrzymać okrzyku zdumienia. Postąpił naprzód. W tej ruinie ludzkiej poznawał istotnie Piotra Kirkstone'a, brata złotowłosej Miriam.

Nic nie rozumiał. W głowie miał zamęt. Stał milcząc. Kao ciągnął z uśmiechem.

— Piotrze Kirkstone, wiesz, dlaczego przyprowadziłem tu tego pana? Wiesz, że to nie jest Derwent Conniston, lecz John Keith, morderca twego ojca!

Grube wargi poruszyły się z trudem.

— Tak, wiem! — odrzekł chrapliwym głosem.

— On mi nie wierzy! Więc przyprowadziłem go tu, byś mu sam powiedział prawdę. Piotrze Kirkstone, czy chcesz, by twoja siostra Miriam oddała mi się dzisiejszej nocy?

Obrzękłe wargi drgnęły ponownie. Keith widział, jak w oczach Piotra Kirkstone'a *zapala* się zwierzęcy strach. Plecy przebiegł mu zimny dreszcz. Zrozumiał, że pytania i odpowiedzi są ustalone z góry. Mówił człowiek pozbawiony własnej woli.

— Tak! — wycharczał Piotr Kirkstone;

— Ależ dlaczego? — wybuchnął raptem Keith. Potworną twarz nieszczęśnika wykrzywił bolesny grymas.

Spojrzał na Azjatę. Oczy księcia Kao lśniły w półmroku jak ślepie kobry.

— Bo... To ocali mi życie!

— Ależ dlaczego? Na chwilę zapanowała cisza. I znów zabrzmiał głos tej ruiny ludzkiej, bardziej jeszcze chrapliwy i rżący:

— Bo... ja... zabiłem człowieka!

Kao, cały w ukłonach, pełen przyjaznych gestów, zwrócił się ku drzwiom.

— Dziękuję, Piotrze Kirkstone, wystarczy! Johnie Keith, proszę za mną!

Keith, jak nieprzytomny, ruszył w ślad za Chińczykiem. Minęli korytarz oraz potajemne drzwi i stanęli wreszcie w wielkiej sali rozjarzonej blaskiem świec. Siedli przy stole, na którym stygły nietknięte filiżanki herbaty. Keith czuł zawrót głowy i na skroniach zimny, lepki pot.

— Oto powód, Johnie Keith! Piotr Kirkstone, jej brat, zamordował człowieka! Uczynił to z premedytacją! Tajemnicę zna jedynie sama Miriam oraz wasz pokorny sługa — Kao. Dla zachowania sekretu, dla uratowania głowy brata złotowłosa bogini jest niemal gotowa ofiarować mi siebie, swe ciało, nie duszę. Niemal gotowa, Johnie Keith! Zdecyduje się ostatecznie dziś w nocy, gdy pan wstąpi do niej. Wtedy — przyjdzie! Och, jestem tego pewien! Bo inaczej jutro o świcie Piotr Kirkstone wraz z Johnem Keith będą oddani w ręce kata!

Keith, pomimo całej ohydy sytuacji, nie doznawał żadnego podniecenia. Wszystko było teraz zupełnie jasne; groźbą lub wybiegiem niepodobna było nic zdziałać. Kao grał po mistrzowsku i miał pełną dłoń atutów. Istniało jedno wyjście — beznadziejne! O tym, by przystać na nikczemny handel, Keith nawet nie myślał.

Gdy przemówił, twarz miał nieruchomą jak skała, a głos bezbarwny. Jego oczy spoczywały na dywanach rozesłanych pod baldachimem, w cieniu którego miał się zakończyć wstrętny targ. Przez chwilę widział złoto włosów Miriam rozsypane na tle ciemnych kobierców, w migotliwym lśnieniu świec.

— Więc — handel! Darowuje mi pan życie w zamian za hańbę panny Kirkstone!

— Daję więcej, panie Keith. Dla mnie Miriam, dla pana — Juddy Conniston!

— I to ja mam panu przyprowadzić Miriam? Ja mam ją ostatecznie nakłonić, by uległa?

— Właśnie!

— A jeśli zamiast tego zastrzelę pana?

Kao wzruszył ramionami i zachichotał dziwacznie.

— Wszystko przewidziane! Opisałem całą tę sprawę! Jeśli spotka mnie nieszczęśliwy wypadek, wierni słudzy złożą odpowiedni list w biurze MacDowella. Moja zguba będzie pana zgubą! Zresztą nie wyjdzie pan stąd żywy! Nie boję się więc!

— Jakże skłonię pannę Kirkstone, by tu przyszła?

Kao pochylił się do przodu i cichutko zabębnił palcami po stole.

— Ach, więc wreszcie doszliśmy do sedna sprawy! Będziemy zatem przyjaciółmi, gdyż cenię mądrych ludzi. Co do Miriam, nie przewiduję najmniejszych trudności. Dziesięć dni temu panna Kirkstone była gotowa na wszystko, aż zjawił się — pan! Gdy spotkała pana w biurze MacDowella, zmieniła front. Dlaczego? Nie wiem. Może działała tu tak zwana przez was, białych, intuicja. Może sądziła, że człowiek, który pomścił śmierć jej ojca, i ją zdoła ocalić! Odwiedziłem ją tegoż wieczoru, przed pana przyjściem. Widziałem, jak iskra nadziei rośnie w jej piersi i spalają całą. Dlatego zaniósłem panu ostrzeżenie. Byłem pewien, że tak, jak pan jedynie zbudził w niej wiarę w inny wynik naszej walki — również pan tylko może tę wiarę zabić. Dziś w nocy to się ma stać! Musi pan pójść do niej zgnębiony i bezsilny. Musi ją pan przekonać, że nie ma innej drogi, że będzie szczęśliwa, panując u mego boku, i że dziś w nocy pakt musi być zawarty. Nie jutro lub pojutrze, lecz właśnie — dziś! Przyjdzie, jestem tego pewien! Uratuje brata od zguby! A pan, w zamian za te parę przykrych chwil, otrzyma na własność siostrę Derwenta Connistona, no i jego nazwisko!

Z kolei Keith uśmiechnął się, patrząc w oczy Chińczyka;. Pomimo uśmiechu jego twarz była nadal chłodna jak gład. — Kao, jesteś diabłem! W twoim zdeprawowanym umyśle to zdanie brzmi zapewne jak komplement. Jesteś podłym gadem! Jesteś demonem do szpiku kości! Przyszedłem, by z tobą pomówić, gdyż nie przypuszczałem nigdy, żeś taki zbir! Miałem przez chwilę zamiar wpakować ci kulę w łeb. Lecz teraz zmieniłem plan! Znam lepszą drogę! Za kwadrans stanę przed MacDowellem i wyznam mu sam, że jestem Johnem Keithem! I powtórzę mu od początku do końca naszą rozmowę. Opowiem, jak modliłeś się do panny Kirkstone — ty świętokradco! Jutro całe Prince Albert porwie się jak jeden mąż, by zgnieść cię w twej dziurze! Oto moja odpowiedź, ty skośnooki sadysto! Mogę zginąć, i Piotr Kirkstone niech ginie, ale nie zhańbisz białej kobiety! — Nim skończył mówić, wstał. Dziwił się sam swej zimnej krwi. Ważkie słowa padały ostro i dźwięcznie — jak ciosy szpady.

Kao patrzył skamieniały ze zdumienia. Miał przed sobą człowieka, który poświęcał życie dla uratowania kobiecej czci i własnego honoru. Nie przewidział podobnego zakończenia. Przed chwilą zwycięzca, teraz przegrywał na dwu frontach naraz., Widział, jak pada w gruzy gmach jego marzeń, jak wroga siła niweczy jego moc. Czuł nad głową miecz Demoklesa. Z twarzy Keitha poznawał, że to

nie bluff. Biały człowiek mówił prawdę; Szczerze i otwarcie odrzucał wszelki targ. Jego kamienne oblicze odzwierciedlało niezachwianą decyzję. Keith wyczuł raczej, niż dojrzał zmianę zaszłą w rysach Azjaty, który, przeszedłszy kolejno przez niewiarę i oglupienie, zapragnął widoku krwi. Jego oczy rozszerzyły się nadmiernie, potem zwęziły raptem, tak że źrenice, jak dwa czarne żądła, wyglądały spod ściągniętych powiek. Zręcznie jak kot Kao porwał; się z miejsca, odrzucił fałdzystą zwierzchnią szatę i wydarł zza pasa rewolwer.

Jednocześnie z jego gardła wydobył się chrapliwy okrzyk. Keith odskoczył do tyłu. Wyraz oczu Azjaty uprzedził go o niebezpieczeństwie i ciężki colt błysnął w świetle świec. Ściany sali ożyły w mgnieniu oka. Pękły drewniane rzeźby; parawany runęły z trzaskiem; wzorzyste zasłony wydeły się, niby pod naporem wichru. Fala książęcych sług zalała wnętrze jak zażarta psiarnia. Keith nie zastanawiał się nad ich liczbą, przede wszystkim obchodził go bowiem rewolwer w ręku Kao. Ujrzał lśnienie jego lufy, rzut płomienia i dym. Lecz grom olbrzymiego colta zgłuszył huk słabszej broni. Rewolwer wypadł z ręki Chińczyka, a on sam runął na podłogę. Keith strzelił ponownie, tym razem w gęstwą sług, i tyłem cofał się do drzwi. Wtem coś porwało go za kark i, przygnieciony żywym ciężarem, zwałił się na podłogę.

Rewolwer wypadł mu w ręki. Przywalało go mrowie sprężystych ciał. Drapieżne pazury szukały jego gardła. Czuł na twarzy gorący oddech, a w uszach chrapliwe wrzaski. Ogarnął go obłędny strach i wstręt taki, jakiego chyba doznał Laokoon opasany cielskim węża. Zapomniał, że walczy z ludźmi. Dla niego były to potwory, żółte, oślizłe gady. Chwytem dłoni złamał kiść ręki dławiącej go za gardło, jakby to był suchy badyl. Wygiął czyjąś głowę, aż trzasła kość pacierzowa. Walił i miażdżył, ogarnięty ślełą furją, z siłą szaleńca zadając śmierć i rany. Wreszcie okrwawiony, w poszarpanym odzieniu, półślepy, porwał się na nogi i skoczył do drzwi. Gdy otworzył je, kątem oka dostrzegł, że tylko dwie postacie wstają spośród stosu ciał.

W ciasnym korytarzu zawahał się ćwierć sekundy. W sali kawiarnianej — wiedział to — byli ludzie. Tamtędy nie mógł umknąć. Lecz w głębi dojrzał kotarę, a poza nią okno. Pchnął je mocno ramieniem i wywalił ramę. Zimne powietrze nocy owionęło mu twarz. Po chwili znalazł się na zewnątrz, na małej platformie u szczytu wąskich schodów. Nikt go nie ściagał. Keith roześmiał się złowieszczo i jął zstępować w dół.

W mroku alei otaczającej dom przystanął na moment. Lekki wiatr wachlował mu policzki i z wolna ochładzał wzburzoną krew. Stwierdził spokojnie, że Kao nie żyje, że Miriam jest wolna i że on sam nie ma chwili czasu do stracenia.

Musiał uciekać bez zwłoki. Była mu widać przeznaczona samotna włóczęga po krańcach świata. Prowadził wielką grę i przegrał. Zresztą wypełnił swą powinność i pozostało mu tylko jedno zadanie do spełnienia. Juddy musi się dowiedzieć o wszystkim — z jego ust.

Nikt nie widział jak Keith, skrwawiony i w łachmanach, pomykał chyłkiem wśród pustynnych zaułków i opłotków. W kwadrans znalazł się u stóp zbocza wiodącego do Chatki, a po upływie półgodziny stanął przed progiem domu.

Okna gorzały jasnością; firanki były uniesione ku górze. Juddy czekała i oświetlała mu powrotną drogę.

Keith pchnął drzwi i wszedł. Twarz miał pooraną pazurami Azjatów, pełną krwi swojej i cudzej. Był bez czapki i rozczochrany a ubranie wisiało na nim w strzępach. Juddy skoczyła mu naprzeciw, wyciągając ramiona — blada, z oczyma pełnymi grozy. Lecz Keith zatrzymał ją władczy ruchem ręki.

— Proszę, niech pani tu chwilę zaczeka!

Stała jak wryta. Nie tylko słowa Keitha, lecz i brzmienie jego głosu oraz wyraz twarzy

napęłniły ją zdumieniem. Miął ją szybko, idąc do telefonu. Juddy poruszyła wargami, lecz nie wyszedł z nich żaden dźwięk; nagle podniosła ręce do gardła, jakby ją co dławilo.

Keith wywołał numer Miriam Kirkstone. Jego ręce zboczyły aparat krwią. Juddy słyszała czyjś szept, płynący z oddalenia, a potem głos Keitha.

— Szan Tung nie żyje!

To było wszystko. Powiesił trąbkę i zwrócił się do Juddy. Krzyknęła znów i biegła mu na spotkanie:

— Derry! Derry!

Ale on wskazał ręką fotel stojący przy ogniu.

— Proszę, niech pani siądzie!

Usłuchała go. Była tak blada, jakby miała wnet zemdleć.

Keith zaczął mówić i wyjawil wszystko od początku do końca. Juddy milczała cały czas, tylko skurczyła się dziwnie, jakby chcąc utonąć w fotelu. Opowiadał, jak go Conniston schwytał, jak potem zachorował i jak wreszcie, przed śmiercią, w małej chatce, na pustkowiu, darował zbiegowi własne imię. Chwilami ciemniało mu w oczach, a jednak widział wciąż twarz Juddy i był pewien, że nie zapomni jej do końca życia: widmowosinej, o wielkich, przerażonych oczach i kurczowo zaciśniętych ustach.

Zakończył wyznanie swej ogromnej i beznadziejnej miłości. Gdy umilkł, ona nie odezwała się ani słowem, nie wykonała również najmniejszego ruchu. Keith wstał i wyszedł do swego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Zapalił światło. Szybko spakował plecak. Gdy był gotów — na skrawku papieru nakreślił te parę słów:

Powtarzam po raz tysięczny — kocham cię, Juddy! Przebacz mi, jeśli możesz. Jeśli nie — powiedz MacDowellowi, że uciekłem i niech mnie szuka w krainie naszych wspólnych marzeń, u źródeł rzeki!

John Keith.

List ten zostawił na stole, a obok położył zapis czyniący Marię Józefinę Conniston właścicielką wszystkich jego ziemskich dóbr.

Przez chwilę nasłuchiwał u drzwi. W bawialni panowała głucha cisza. Wtedy otworzył okno, przez które w swoim czasie wszedł księżę Kao.

W minutę później stał pod gwiazdzistym niebem. Z głębi doliny dochodził słaby gwar rozbawionego miasta,

Zwrócił twarz ku północy. Bór zaczynał się już u stóp zbocza. Keith uśmiechnął się blado i ruszył przed siebie — drogą ściganych i wygnańców.

ROZDZIAŁ XXIII

UCIECZKA

Całą noc, w bladym świetle gwiazd, John Keith uparcie wędrował na północny zachód. Na razie mijał zagajniki, polany i wyręby. W mroku rozróżniał powikłaną przedzę leśnych ścieżyn i szlaków ledwo przetartych; czasem dostrzegał samotne chaty, ciemne i pozbawione życia. Dwukrotnie zwęszył go pies, strażnik domostwa, i odprowadził zaciekłym ujadaniem; raz usłyszał krzyk ludzki.

Potem droga stała się dziksza i trudniej dostępna. Dotarł nad brzeg rozległych mokradeł. Keith znał położenie tych błot, lecz na wszelki wypadek zapalił zapałkę i sprawdził kierunek według kompasu. Przeprowa na drugą stronę zajęła mu dwie godziny. Natomiast gdy znalazł się wreszcie pośród drzew, nie tkniętych piłą czy siekierą, w gęstwie dziewiczego boru, doznał uczucia ulgi. Bór był mu najwierniejszym druhem.

Nie spoczął i teraz. Czuł w całym ciele chęć fizycznego wysiłku, więc szedł dalej, jakkolwiek nie doznawał żadnej obawy. Lęk utraty życia przestał być potężnym bodźcem. Instykt samozachowawczy — zamarł. Gnało go tylko przyzwyczajenie i podświadoma myśl, że kiedyś, komuś może się jeszcze przydać.

— Nie, nie uda się im mnie schwytać! — powtarzał półgłosem, wpadłszy w dawny nawyk samotnej gawędy. — Ona im nie powie, w jakim kierunku uciekłem! Nie zdradzi mnie!

Nie był jej jednak absolutnie pewien, toteż jego myśli krążyły wciąż wokół tego problemu. W gruncie rzeczy, czymże jest w jej oczach? Mordercą i oszustem! Kochała w nim swego brata. Bratu, nie jemu, zarzucała ręce na szyję i podawała słodycz warg.

— Nienawidzi ciebie, Johnny! — szeptał, smutnie chwiejąc głową. — Och, jakże ciebie nienawidzi teraz!

Z każdą godziną to przekonanie zakorzeniało się w nim głębiej. By je odegnąć, raz po raz wywoływał z mroku jej postać. Chciał ją widzieć w aureoli niezmaconego szczęścia, gdy miała w głosie słodycz, a na twarzy pogodny uśmiech. Jednak przeważnie oglądał ją taką, jaką była przed samą ucieczką — śmiertelnie bladą, z oczyma pełnymi grozy i zaciśniętymi wargami.

— Nie zdradzisz mnie, Juddy? Prawda, że nie zdradzisz? — pytał mijane krzewy i drzewa.

Nie chodziło mu o utratę wolności ani nawet życia, lecz o poznanie głębi jej serca. Czy potrafi zrozumieć i przebaczyć? Czy też będzie zdolna wydać go w ręce kata?

Noc mijała, a John Keith szedł. Cień Juddy towarzyszył mu stale. Jej głos przemawiał w leśnych szeptach, jej oczy błyszczały wśród gwiazd. Wierzył, że nie opuści go już nigdy i chociaż tylko jako nieuchwytnie widmo, podzieli losy włóczęgi. Uśmiechnie się doń z głębi płomieni obozowych ognisk, a rankiem zbudzi chłodną rosą, niby fala perlistych łez. Nieco przed świtem gwiazdy zaczęły blednąć. Keith nie czuł znużenia; nie był ani trochę wyczerpany. Brzask, a potem dzień zastały go jeszcze na nogach. Prince Albert zostało o trzydzieści mil w tyle.

Przystanął wreszcie nad brzegiem małego jeziora i po raz pierwszy zrzucił plecak. Był rad, że przecucie ważnych zdarzeń kazało mu już wczoraj rano napełnić worek żywnością. „Bądźmy lepiej gotowi,” śmiał się pomagając Juddy układać zapasy, a panienska wetknęła dodatkowy kawał szynki, gdyż lubiła ją bardzo.

Keith krajał teraz wędlinę, czując dławienie w gardle. Jakie to zabawne: szynka, miłość! Próbował się roześmiać, jakkolwiek dławiły go łzy; wydał tylko chrapliwy, nieokreślony dźwięk. Posilił się gruntownie, wypoczął parę godzin i ruszył dalej. Wędrował cały dzień, choć mniej

forsownie, a o zmroku urządził obóz.

Przez następne dziesięć dni trzymał się z dala od ludzi. Omijał przezornie linie sideł oraz uczęszczane szlaki. Zgolił brodę i wąsy, i co rano usuwał starannie wszelki zarost. Juddy nigdy nie lubiła zarostu. Kłutł i łaskotał niemile. Prosiła zawsze, by się go pozbył. Keith przyznawał z zadowoleniem, że wygląda teraz znacznie lepiej i młodziej. Równocześnie znikło rażące podobieństwo do Derwenta Connistona.

Po dziesięciu dniach zbieg znalazł się nad jeziorem Turtle, o pięćdziesiąt mil na wschód od fortu Pitt. Osądził, że może się teraz pokazać ludziom bez obawy, więc wstąpił do indiańskiego osiedla, aby kupić żywność. Potem skierował kroki na południe, minął fort Pitt, w bród przebył Saskatchewan i pomiędzy łańcuchem wzgórz Blackfoot a rzeką Vermillon przekradł się do krainy Buffalo. Napotkał tu samotne rancho i w jednym z nich nabył jucznego konia. W faktorii jeziora Buffalo zaopatrzył się w zapasy na pobyt w górach. Zakupił, między innymi, pięćdziesiąt stalowych sideł. Nocą przeciął ostrożnie odgałęzienie kolejowe łączące Kanadę z Oceanem Spokojnym, a nazajutrz dostrzegł w oddali purpurowe szczyty Gór Skalistych.

Minęło sześć tygodni od dnia śmierci księcia Kao, gdy Keith, powyżej Brazeau, ujrzał znów złoty Saskatchewan. Teraz szedł nie spiesząc się. Góry stały tuż; źródło rzeki, cel wielu marzeń, było w pobliżu. Lecz jego siła przyciągająca zszarzała i osłabła. Czar znikł, jak kruszeje i niknie skała pod naporem wezbranych wód.

Całe dwa tygodnie Keith leniwie i bez celu błądził po szmaragdowych łągach i halach. Pożerała go okropna samotność, powodując wprost fizyczną niemoc. Nie widział żadnej rady ani końca mąk, choć łatwo mógł znaleźć towarzystwo. Dwukrotnie spotykał rojne obozy. Nieraz widywał pojedynczych ludzi, lecz starannie schodził im z drogi. Jak ognia bał się dźwięku głosów; czuł ostry ból na myśl o konieczności rozmowy. Natomiast we dnie i w nocy, duszą i ciałem, pragnął bliskości Juddy i czasem przeklinał głośno zły los, który mu ją zabrał. Męczył się tak bardzo, że wreszcie twarz porały mu bruzdy, a oczy zapadły w głąb czaszki, jak u chorego.

Czasem ogarniała go rozpacz tak niewysłowiona, że postanawiał już wracać do Prince Albert. Gotów był zginąć, byle ujrzeć ją raz jeszcze, choć z daleka.

Przemógł się jednak wreszcie i oprzytomniał. Wyglądał jak człowiek zmożony ciężką chorobą, lecz postanowił, już nieodwołalnie, ruszyć w góry. Ustalił, że zbuduje sobie chatę i zamieszka w niej samotnie. Czasem nawet myślał, że jeśli prawo wyciągnie znów po niego zaborczą dłoń — będzie walczył o swą wolność i życie.

Pewnego dnia, w głębi długiej i wąskiej doliny zbieg dostrzegł samotnego jeźdźca. Obcy znajdował się właśnie w odległości dobrej mili, gdy Keith go zauważył. Najwidoczniej wracał z gór, był jednak sam i nie posiadał nawet jucznego konia. Keith pomyślał, że jest to zapewne poszukiwacz złota, który, wyczerpawszy wszystkie zapasy, skraca sobie w ten sposób drogę. Zresztą tak czy inaczej zbieg nie miał najmniejszej ochoty spotkać się z nim, toteż skrzył w prawo i począł się wspinać na zbocze skalistego skłonu.

Zaledwie jednak wykonał ten manewr, już obcy jeździec zwrócił konia w tym samym kierunku, najwidoczniej chcąc mu przeciąć drogę. Keith doznał gwałtownej irytacji. Wlaziłszy na małą platformę, położoną nieco wyżej niż reszta doliny, piął się dalej, jakby miał zamiar dosięgnąć szczytu góry, lecz w chwili gdy złom skalny osłonił go na moment, skrzył w bok i przy warował w głębi ciasnego jaru. Tu przeczekał dziesięć minut, a potem szybko jął się znów spuszczać w dół.

Zachichotał stwierdziwszy, jak dalece mu się powiódł ten chytry manewr. Obcy, widziany teraz z tyłu, znajdował się teraz o ćwierć mili w górę zbocza i wspinał się coraz wyżej.

— Ciekaw jestem, po co on sobie zadaje tyle trudu? — powiedział do siebie Keith.

Lecz w tej chwili nieznajomy obejrzał się i dostrzegł go. Na moment zastygł w miejscu i Keith wyobraził sobie, jak klnie ile tchu w płucach. Potem zaczął się spuszczać w dół, a osiągnąwszy dno wąwozu, puścił konia cwałem. Tym razem niepodobna było uniknąć spotkania. Odległość zmniejszała się bardzo szybko. Keith otworzył kaburę i dłonią namacał rewolwer. Manewrował w ten sposób, by juczna klacz osłaniała go choćby częściowo przed spodziewanym atakiem. Był już teraz pewien, że Juddy zdradziła policji kierunek jego ucieczki.

Gdy tętent kopyt dowiódł mu, że jeździec jest opodal, Keith odwrócił się i spojrzał na swego prześladowcę. Jeden rzut oka wystarczył, by go przekonać, że nie jest to funkcjonariusz policji. Obcy siedział na koniu jak pajac i ledwie trzymał się w siodle. Jedna noga skakała mu w powietrzu, jakby zgubił strzemię; rozstawione łokcie obijały się o boki, a kapelusz, przytrzymany rzemieniem, powiewał na plecach niby sztandar.

— O! — rzekł nagle Keith.

Serce w nim zamarło. Wytrzeszczając oczy spoglądał na wielką czerwoną brodę i olbrzymi kudłaty łeb. Jeździec zdarł konia, zeskoczył z siodła i zachwiał się niby pijany.

— No, na szczęście!...

— Duggan!

— Johnny! Johnny Keith!

ROZDZIAŁ XXIV

W GÓRACH

Jakiś czas obaj stali bez ruchu. Keith był jak ogłuszony. Oczy Andy Duggana niemal wychodziły z orbit. Raptem Keith wyczuł w powietrzu woń, co do której nie mogło być cienia wątpliwości — zapach wędzonej szynki.

— Andy, och, Andy! — wybełkotał. — Więc poznałeś mnie? Poznałeś Johna Keitha?

Duggan mruknął coś niezrozumiale i skoczył naprzód z gracją niedźwiedzia. Ręce ich splotły się i stali obaj długą chwilę, ściskając sobie wzajem dłonie, czerwoni na twarzach z nadmiaru wzruszenia. Andy bełkotał:

— Minałeś mnie wtedy nad rzeką, a ja cię nie poznałem! Byłem pewien, że to ten paniczyk Conniston! O Johnny, Johnny!...

— Andy, mój stary!

Poklepywali sobie wzajem plecy aż do bólu; gnietli dłonie w zapale powitań. W oczach zbiegała łza radości życia.

Raptem Duggan zeszywniał i wciągnął nosem powietrze.

— Johnny! Czuję szynkę!

— Mam ją w jukach, Andy! Ale na miłość boską, zapomnij na razie o wędlinie i powiedz, jakim cudem się tu znalazłeś?

— Szukałem ciebie! Wiedziałem, że musisz przebyć tę dolinę, by trafić nad Little Fork. Włóczę się tu od sześciu tygodni!

Keith wpił palce w ramię Duggana.

— Skąd wiedziałeś, że jadę tędy? — wycharczał. — Kto ci to powiedział?

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy, Johnny! Chińczyk umarł! Keith żył, i to u boku ślicznej siostrzyczki Connistona. Raptem znikł! Nikt nie wie, gdzie się podział! Aż mnie olśniło, że kto, jak kto, a panna musi wiedzieć. Poszedłem tedy do niej i oznajmiłem, że ty i ja byliśmy przyjaciółmi, no i wyznała, że uciekłeś ku źródłom rzeki. Też nocy pożegnałem na zawsze Betty M. A pannie oświadczyłem z pewną miną, że się myli, że okłamałeś ją rozmyślnie i pojechałeś, całkiem gdzie indziej!

— O Boże! — westchnął Keith. — Ja bym jej. kłamał, w takiej chwili?

— Oczywiście, że nie, Johnny! Byłem tego pewien, tylko obawiałem się, że zdradzi! Gdybyś widział te jej piękne ślepie lśniące morderczym ogniem, usteczka żądne krwi i łapki gotowe ciebie zdusić! Wyznałem jej, że będę cię ścigał zażarcie i gotów jestem przywieźć jej twój łeb w worku, jak to robiono za dawnych czasów. Uwierzyła! Powiedziała nawet, że w takim razie nie powiadomi policji. I oto jestem! A jeśli mam dotrzymać słowa danego tej tygrysicy, powinienem ci w łeb palnąć! Zaraz, z miejsca! Ha, co?!

Keith odwrócił głowę.

Duggan chwycił go za ramiona i nie rozluźniając objęć zajrzał w oczy.

— Johnny!

— To nic! To nic! — bełkotał Keith. — Przykro mi, że ona jest taka... zawzięta!

Przez chwilę Duggan milczał. Potem wybuchnął:

— Przykro ci? Po kiego diabła, Johnny! Byłeś dla niej dobry i zostawiłeś jej, co tylko miałeś na wyjezdny. Więc z jakiej racji ciebie nienawidzi. Zapomnij o niej! Jest miła i ładna, przyznaję, ale

co to wszystko znaczy, gdy taka nienawiść w niej mieszka? Okłamałeś ją! Cóż stąd? Bywają znacznie gorsze kłamstwa! Myślmy teraz o przyszłości! W czasie tych sześciu tygodni uplanowałem, co będzie dalej. Mam na Little Fork rozkoszny dom. No, ciesz się, Johnny! — I Andy Duggan roześmiał się, patrząc w szarą i zimną twarz Keitha.

Keith próbował się uśmiechnąć. Oczywiście Duggan ani się domyślał, czym jest dla niego ta dziewczyna. Skądże miał wiedzieć? W następnej chwili Keith postanowił, że nie zwierzy mu się nigdy ze swej miłości. Niech to będzie wyłącznie jego tajemnica. Pochowa ją w głębi duszy i spróbuje udawać wesołość.

Okrągła twarz Duggana, w otoku czerwonej czupryny i brody, robiła wrażenie promiennego słońca. Zbieg nie był już teraz samotny. Duggan, Andy Duggan, powiernik snów młodzieńczych, stał obok — i Keith z uśmiechem spojrzał w stronę gór. Oddalony zaledwie o parę mil, płynął Little Fork, myszkując wśród ukrytych dolin, bezdrożnych kanionów i tajemniczych skalnych rozpadlin. Tam było życie, okraszone dreszczem przygód! Keith wyciągnął dłoń.

— Niech cię Bóg błogosławi, Andy! — zawołał. — Jesteś najlepszym druhem pod słońcem!

W chwilę później Andy wskazał kępę drzew oddaloną o pół mili.

— Obiadowa pora już minęła! — rzekł. — Tam mamy drzewo! Jeśli masz szynkę, można by się posilić! Po upływie godziny Keith stwierdził z przyjemnością, że apetyt Andy Duggana nie doznał najmniejszego szwanku. Chciwie jedząc, stary poszukiwacz złota molestował przyjaciela.

— No, Johnny, teraz na ciebie kolej! Opowiadaj mi, jak uśmierciłeś tę gadzinę, sędziego Kirkstone'a?

Keith opowiedział oględnie. O drugiej ruszyli w dalszą drogę. W godzinę później dotarli do Little Fork i aż do siódmej wieczór szli brzegiem wody. Gdy rozbili obóz, góry otaczały ich ze wszech stron. Po kolacji Duggan zapalił fajkę i legł na trawie, brzuchem do góry, wygodnie wsparty o drzewo.

— Okropniem się uradował, Johnny, gdym cię wreszcie ujrzał! — zaczął, raz po raz puszczając kłęby dymu. — Czekałem, czekałem, aż mi wszystkie zapasy wyszły! Już chciałem gnać do chaty po nowe jado, a tu — jesteś! Znajdziemy też złoto, zobaczysz, że znajdziemy!

— Możemy całe życie poświęcić poszukiwaniom — melancholijnie odparł Keith.

Duggan zaciągnął się mocniej, po czym odetchnął pełen zadowolenia.

— O Boże! — zachichotał. — Jakże ta mała musi się wściekać! Napiłaby się chętnie twojej krwi, gdyby mogła jej utoczyć! Dałaby nie wiem co, byłeś tylko przed nią stanął! Ręczę, że dniem i nocą o tobie myśli!

— Mówmy o czymś weselszym! — przerwał Keith. — W jukach mam pięćdziesiąt sztuk sideł. Pamiętaj, że w swoim czasie planowaliśmy zawsze, iż latem będziemy szukać złota, a zimę poświęcimy myślistwu!

Duggan ochoczo zatarł ręce i zagadał o łowach. Wspomniał, że widział tropy rysia, ślady lisa i skunksa; brał również próbki złotego pyłku wzdłuż brzegów Little Fork. Gotów był przysiąc, że to jest to samo złoto, które gromadził od tylu lat przy pomocy Betty M.

— Jeśli nie znajdziemy skarbu teraz, to stanie się to niechybnie na przyszłe lato! — zdecydował wreszcie. I aż do północy niemal wyłącznie mówił o tym wymarzonym Eldorado. Lecz gdy położyli się, owinięci w koce, Andy uniósł się jeszcze na łokciach i rzekł do Keitha:

— Johnny, a pamiętaj, żebyś się tamtej małej nie obawiał. Zapomniałem ci powiedzieć, że przecie nie marnowałem czasu: Przed dwoma tygodniami napisałem do niej, że uciekłeś w stronę Great Slave i że będę cię ścigał w tym kierunku. Śpij więc i zapomnij o tej zmi!

— Nie myślę o niej wcale! — odparł chłodno Keith.

W kwadrans później usłyszał, że Andy chrapie. Wtedy po cichu odrzucił koc i siadł. W ognisku tliły się jeszcze pojedyncze główne, na niebie lśniły gwiazdy, i księżyc wypływał ponad łańcuch gór. Obóz znajdował się w zielonej kotlinie, wśród której błękitniało małe jezioro. Na wprost piętrzył się stromy szczyt, a jego turnie chwyciły pierwszą poświatę miesiąca. Keith wstał i ruszył w stronę jeziora. Spoglądał na srebrną przedzę księżycowych promieni omotującą górski stok. Robiła wrażenie perlistych strużek wody.

Wtem dojrzał przed sobą własny cień i odwrócił się szybko. Księżyc wyjrzał już spoza skalnych garbów i błyszczał niby ogromna, jarząca kula. Świat wypiękniał w jednej chwili. Każde drzewo i krzak, każdy głąz i kamień przywdziały migotliwe szaty; jezioro aż po wręby zakipiało żywym srebrem, a jak daleko sięgał wzrok, księżycowe promienie igrały na górskich szczytach. Szumiały cichutko trącane wiatrem liście, a z niedalekich rumowisk płynął zgłuszony chrobot osypujących się głązów.

Keith wyciągnął dłonie w zachwyceniu. Wydało mu się, że i Juddy stoi tuż obok i że wspólnie czerpią rozkosz z piękna otaczającej ich baśni. Marzenia się ziściły! Lecz już w następnej chwili pojął, że to tylko złuda, że na zawsze pozostanie samotny — i zapłakał krótkim, gorzkim szlochem załamanej mężczyzny.

Ta noc, pomimo jej nieziemskiego czaru, była jedną z najcięższych nocy w życiu Keitha. Nie spodziewał się nigdy, że będzie aż tak głęboko cierpieć. Wiedział z góry, że siostra Connistona pogardzi nim, lecz nie przypuszczał, że zapłonie doń tak silną nienawiścią. Przez chwilę wierzył, że wobec tego wspomnienie o niej zblednie w jego sercu, ale przekonał się wnet, że nie przestanie jej kochać, choćby nawet oddała go w ręce kata.

Nie zasnął ani na chwilę. Parokrotnie wracał do swej dery, kładł się, ale wnet wstawał, ogarnięty ciągłym niepokojem. O czwartej rozniecił ogień, a o piątej zbudził Duggana. Stary poszukiwacz złota skoczył na równe nogi z energią młodego chłopca. Udał się wnet nad jezioro dla wykonania rannych ablucji i wrócił po chwili purpurowy na twarzy, ociekając wodą i parszcząc jak koń. Był wesół niby ptak i gotów do czynu.

O szóstej wędrowali już dalej, wciąż trzymając się brzegu Little Fork. Szlak stawał się coraz dzikszy i trudniej dostępny. Duggan przystawał nieraz, by spokojnie sprawdzić kierunek. W pewnej chwili rzekł:

— Ubiegła noc przekonała mnie, Johnny, że nic nam z jej strony nie grozi! Miałem pewien sen, a sny sprawdzają się zawsze na opak: nigdy nie stanie się to, o czym człowiek śnił, jeno zawsze coś innego! A śniłem właśnie, że ta mała diaboliczna podkraźła się do ciebie chyłkiem i kuchennym nożem ucięła ci łeb. Tak, mój drogi! Widziałem ją, jak trzyma twą głowę za włosy; krew ciekła na ziemię, a ona chichotała jak wariatka!

— Milcz! — wrzasnął raptem Keith. Oczy mu płonęły. Twarz miał śmiertelnie bladą.

Duggan wzruszył ramionami, mruknął coś niezrozumiale i poszedł dalej.

W godzinę później wąski szlak przebiegał dnem ciasnego kanionu który; po paru skrętach przeobraził się w piękną zieloną kotlinę opasaną ze wszech stron stokami gór. Ledwie weszli do tego Eldorado, już Duggan począł ryczeć potężnym basem i strzelać w powietrze raz za razem.

— Jesteśmy w domu, Johnny! — tłumaczył. — Chata stoi tuż za tym występem. Ujrzymy ją za chwilę!

Nie upłynęło dziesięć minut, a Keith już ją zobaczył. Stała w cieniu iglastych drzew, przetrzebionych częściowo dla otrzymania budulca. Była niezwykle duża — dwa lub trzy razy większa, niż można było przypuszczać.

— Jeżeli zmajsztrowałeś ją sam jeden — wykrzyknął zachwycony Keith — to istny cud, Andy!

Starczyłoby miejsca na pomieszczenie całej rodziny!

— Spotkałem w swoim czasie pół tuzina Indian i zwerbowałem ich do tej roboty — wyjaśnił Duggan. — Nie mogłem zbudować tylko jednej izby, bo nieraz chrapię potężnie, no i rozumiesz...

— Z komina bije dym! — zawołał nagle Keith.

— Zatrzymałem sobie pewną Indiankę — chichotał Andy. — Doskonale gotuje i śliczna jak cukierek! Jej mąż umarł zeszłej zimy, więc została u mnie chętnie za jedzenie i pięć jelenich skór miesięcznie. Dobry ze mnie gospodarz, co, Johnny?

W pobliżu chaty przepływał strumień. Duggan zatrzymał się, by napić konia, lecz skinął na Keitha, by szedł dalej.

— Obejrzyj sobie nasz pałac, Johnny! Powiesz mi potem, czy ci się podoba.

Keith rzucił przyjacielowi cugle i usłuchał wezwania. Drzwi chaty były otwarte, toteż nie pukając wszedł. Pierwszy rzut oka upewnił go, że Andy może być istotnie dumny ze swego, dzieła. Bawialnia przypominała nieco bawialnię w domu agenta Brady. W dalszej izbie dawały się słyszeć czyjeś kroki i trzask ognia. Na zewnątrz Duggan pogwizdywał wesoło. Przerwał gwizdanie jedynie po to, by straszliwym basem rozpocząć jakąś pieśń, a Keith, słuchając znajomej nuty, uśmiechnął się mimo woli.

Wkrótce zaskrzypiały drzwi i w progu stanęła kobieca postać. Keith spojrzął i zatoczył się niby pijany.

— O Boże!... — jęknął. Uśmiechnięta, promienna, z oczyma pełnymi dumy, miłości i szczęścia wyciągała doń rękę — Juddy.

Uchwycił dłonią stół, tak słaby raptem, że nogi pod nim drżały. Nie widział już nic, gdyż potok gorących łez przesłonił mu oczy. Ale oto poczuł ją tuż przy sobie, w ramionach, na piersi. Mówiła prędko, zarazem śmiejąc się i płacząc.

— Dlaczego... dlaczego nie wróciłeś do mnie tej nocy? Dlaczego uciekłeś? Przecież ja — czekałam! I poszłabym z tobą na kraj świata, Johnny! Od drzwi buchnął ku nim triumfalny, pełen radości śmiech Andy Duggana.

ROZDZIAŁ XXV

KONIEC

Minęła długa chwila, nim Keith zdołał się wreszcie oderwać od Juddy i trzymając ją na odległość wyciągniętych ramion, przyjrzeć się jej.

Tak, to była ona, z oczyma pełnymi szczęścia, pąsowa na twarzy od nadmiaru wzruszeń. Pożerał ją wzrokiem; stęskniony, chłonał każdy szczegół jej postaci, aż padła mu znów na pierś, kryjąc w ten sposób zarumienioną twarzyczkę.

— O Juddy, Juddy! — powtarzał Keith, nie znajdując innych słów dla wyrażenia swych uczuć.

Duggan zniknął za drzwiami. Zresztą para zakochanych nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Stary poszukiwacz złota chichotał bez ustanku, rozsiadłując konie, pętając je i wreszcie wiążąc na szyjach zwierząt dzwonki. Dopiero po upływie pół godziny Andy zdecydował się ponownie ruszyć w stronę domu. Ale nie wszedł, tylko kręcił się w pobliżu, dopóki Juddy nie stanęła w progu. Słońce padało wprost na nią. Piękne włosy falowały na ramionach, a Keith, trzymając ją w pól, był nimi również okryty.

Juddy jak ptak skoczyła w stronę Duggana. Zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała w czerwony policzek wyglądający spośród zwichrzonego zarostu.

— No, no! — mruknął Andy, nie znajdując na razie innych słów.

Tymczasem Keith chwycił go za rękę.

— Andy, stary kłamczuchu! — zaczął. — Gdyby nie to, że jesteś w dość poważnym wieku, by zastępować mi ojca, sprawiłbym ci tęgie lanie! Bo tak cię kocham, ty... ty drabie! Tak kocham! Ten dzień jest...

— Najbardziej pamiętnym dniem mego życia! — dopowiedziała Juddy śmiejąc się. — Prawda, Johny?

Przytuliła policzek do ramienia mężczyzny, patrząc nań figlarnie, a Keith ucałował ją mimo obecności Duggana.

W parę godzin później, gdy noc pojaśniała światłem gwiazd i księżycową poświatą, Keith i Juddy szli we dwoje środkiem swej doliny. Dla Keitha było to powtórzenie ubiegłej nocy, tylko w piękniejszym wydaniu. W powietrzu drżała tak samo melodia płynącej wody, a wiatr szeptał wśród wierzchołków gór. Wkoło pięły się ośnieżone szczyty, a pod stopami słał się kobierzec traw, pachnący kwieciem.

— To nasza wyśniona dolina! — mówiła Juddy głosem łkającym ze szczęścia. — To uosobienie naszych marzeń!

— Więc poszłabyś ze mną owej nocy? — pytał Keith. — Poszłabyś wiedząc, kim jestem?

— O tak! Nie wiedziałam, że uciekłeś! Byłam pewna, że jesteś w domu! Wreszcie nie mogłam dłużej czekać, podeszłam do drzwi, słuchałam, stukałam, wołałam głośno! No i ostatecznie znalazłam się w twoim pokoju — sama!

— O, Boże! — westchnął Keith. — Poszłabyś ze mną, zbrodniarzem, zbiegiem, wyjętym spod prawa?

— Johny, miły! — Juddy ujęła w swoje dłonie jego dłoń. — Chcę ci coś powiedzieć!

Keith milczał.

— Prosiłam Duggana, by spotkawszy ciebie nie mówił nic, że ja tu jestem. Prosiłam go również, by zachował w tajemnicy jeszcze jedną rzecz. Chciałam sama ci ją oznajmić. Andy obiecał i

dotrzymał słowa!

Przysunęła się do niego jeszcze bliżej, nie wypuszczając jego dłoni ze swych rąk.

— Widzisz, kochany, po twojej ucieczce przyszły straszne rzeczy! Zaledwie weszłam do twego pokoju, na niebie błysnęła łuna. To płonął dom Szan Tunga! Ogarnął mnie taki strach, że nie śmiałam się ruszyć. Długo siedziałam przy oknie jak martwa. Raptem otwarły się drzwi i do pokoju wpadła Miriam, Kirkstone, a za nią MacDowell. Jakże on strasznie klął, gdy się okazało, że ty już uciekłeś! Nigdy nie słyszałam takich przekleństw! A Miriam padła przede mną na kolana!

MacDowell biegał po pokoju, tupał nogami i grzmiał bez przerwy. Nagle skoczył w moją stronę, jakby chcąc mnie zjeść, i wrzasnął: „Czy pani wie, że ten skończony idiota nie zabił sędziego Kirkstone'a?!”

Nastała chwila ciszy. Keith odetchnął bardzo głęboko, jakby mu brakło powietrza. Juddy mówiła dalej:

— Tak, Johnny, to nie ty go zabiłeś, nie ty! Gdy uciekłeś, sędzia Kirkstone był tylko ranny i ogłuszony. Ale jego syn... Wiesz, oni podobno byli w bardzo złych stosunkach. Piotr Kirkstone miał długi, których ojciec nie chciał płacić. Więc tej nocy, widząc, że sędzia niezdolny jest do obrony, zaczął żądać pieniędzy i grozić. Ojciec odmówił; wiesz, jaki był chciwy! I wtedy syn zabił go, by po nim dziedziczyć. A winę zwałił na ciebie!

— Dosyć, Juddy, nie mów już! — przerwał błagalnie Keith. — To okropne! Skąd wiesz o tym?

— Szan Tung jakimś cudem odgadł tajemnicę i grożąc, że da znać policji, trzymał w szachu Miriam i jej brata. Ale Piotr został strasznie poparzony w tym pożarze i umarł tejże nocy. Przed śmiercią wyznał wszystko.

— Więc to dlatego panna Miriam tak się troszczyła o losy Johna Keitha? — szepnął Keith głucho.

Zamilkli oboje, spoglądając na krajobraz pełen srebrnych i modrych lśnień. Dusza kobiety znalazła szczęście. Dusza mężczyzny poznała wreszcie radość życia.

Przygotowano na podstawie bookini.pl